



№ 45.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 7 listopada 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Władysław Neryng (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Maż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z pięcioma drzeworytami). — Kilka uwag o wpływie ojców rodzin na wychowanie dzieci. — Rysunki humorystyczne (drzeworyt). — Garkuchnie tanie czyli ludowe (dokończenie). — Szachy. — Rebus. — Silni i słabi, powieść (dokończenie). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego ze Lwowa. — Przegląd piśmienniczy. — List do W. P.

Władysław Neryng.

Władysław Neryng, poprzednio nauczyciel historii przy gimnazjum S. Maryi Magdaleny w Poznaniu, a od początku bieżącego roku akademickiego profesor języków słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim — katedrę objął po ś. p. Wojciechu Cybulskim, zmarłym 15 lutego 1867 r., (którego życiorys podał Tygodnik Illust. w N. 392 seryi 1éj). Zaleciła go do niej zdolność, gruntowna nauka i dobra metoda jej użycia, jaką wykazał w swych pracach historyczno-literackich.

Urodzony w miasteczku Klecku w w. ks. poznańskim, niedaleko Gniezna, skończył gimnazjum w Trzemesznie, nauki zaś wyższe w uniwersytecie wrocławskim, gdzie po napisaniu rozprawy *De poloniarum rerum saeculi XVI scriptoribus* (O historykach polskich XVI wieku), w r. 1856 otrzymał stopień doktora filozofii.

Ta pierwsza praca akademicka była wstępem do przybytku literatury i już wytknęła autorowi wyższy cel zajęć w przyszłości.

Na pierwszy raz p. Neryng, mimo więcej zapowiadającego tytułu „O historykach polskich XVI wieku“ zastanowił się tylko nad Rejnoldem Hejdensztejnem — w języku łacińskim. We cztery lata potem dał część drugą „O życiu i pismach J. D. Solikowskiego,“ obie w języku polskim. Na tych pracach rosła i dojrzewała myśl młodego uczonego i wskazała mu potrzebę tak dla większej dokładności, jakoteż dla jednostajności wykładu, przerobić po polsku i szerzej pierwszą część, rozprawę o Hejdensztejnie, którą wydał 1862 r. Po tych pracach zamierzył sobie rozebrać krytycznie jeszcze Świętosława Orzelskiego i Fredrę, oraz napisać wyczerpującą monografią Jana Zamojskiego.

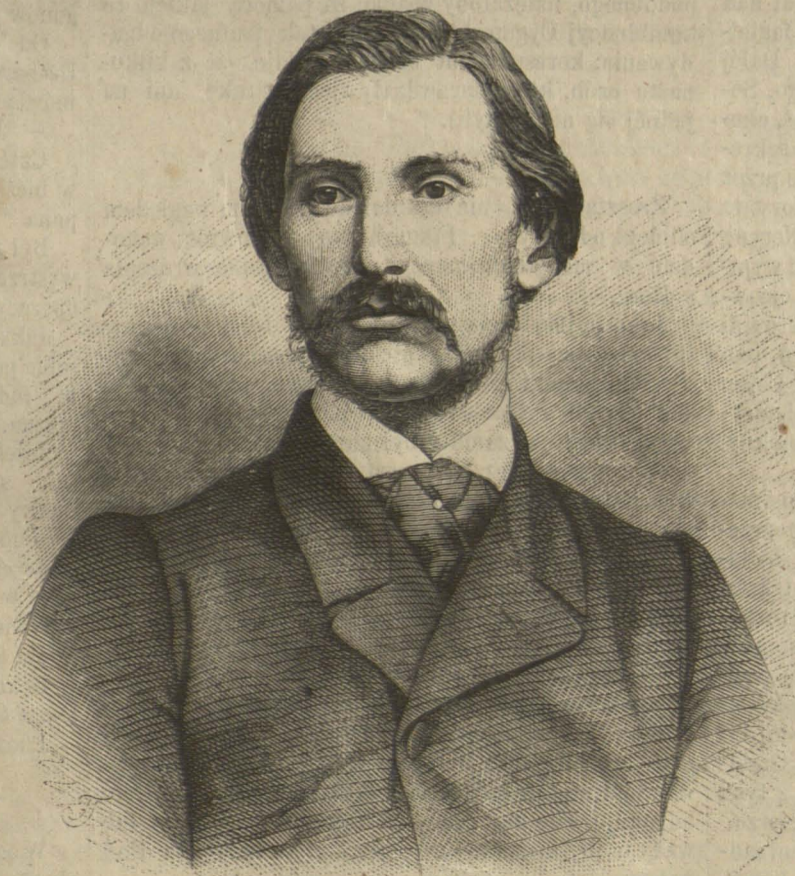
Urządząca się właśnie wtedy Szkoła Główna w Warszawie, podnieciła p. Nerynga do starania się o pozyskanie w niej katedry, aby przez to zbliżyć

się do szczegółowych i oryginalnych źródeł, koniecznych w zamierzonej przezeń pracy. Przybył do Warszawy, ale młody jeszcze wiek kandydata profesora nie dozwolił p. Neryngowi osiągnąć celu swych starań; tylko literaci tutejsi mieli sposobność, przez czas jego tu pobytu, poznać miłe, łatwe, głębszą my-

ślnika Illustr., wykazując jego zalety, oraz czego mu brakuje, jako dokładnemu a całkowitemu kursowi historii literatury polskiej.

Po przykrój wiadomości o zgonie Wojciecha Cybulskiego, dowiedzieliśmy się wkrótce, że opróżniona po nim katedra udzielona została p. Neryngowi. Ucieszyliśmy się z tego, bo ogólne wrażenie, jakie pismami swymi i stosunkami życiowymi sprawił nowy profesor, było dlań bardzo przychylnie; ztąd więc nadzieja, że z chlubą dla siebie i pożytkiem dla ogółu zajmować będzie pozyskane stanowisko.

A stanowisko to ważne, bo w obec uczonej Niemiec, tudzież ucywilizowanego świata wykazuje zalety umysłowe, naukowe i społeczne ludów słowiańskich domagających się słusznego im uznania w wielkiej rodzinie europejskiej. Niedopiero już wykazują one, że mają swoją własną indywidualność plemienną i że germańska cywilizacya nie jest celem ich dążenia, lecz tylko środkiem i przykładem do podniesienia własnych zasobów duchowych. Nawzajem, że Niemcy z duchowego żywota Słowian w wielu względach mogą odnieść pożytek. Głosy z takich katedr, wzywające do wzajemnego poznania się i przyjaznego zbliżenia, są ważne w swych skutkach. Naturalnie konieczną jest rzeczą gruntowna i rozległa znajomość obydwóch cywilizacyj, a przedewszystkiem ogólnie-słowiańskiej. Ułatwiono już do tego drogę i badaniami i wieszczem a głębokim zajązeniem w dzieje cywilizacyi słowiańskiej. P. Neryng obejmuje szacowny spadek, do którego ma tylko przyczynić. Młode siły, wykazana już nauka i osobliwie dobra metoda w wykładzie, upoważniają do spodziewania się, że przyczynę będzie



Władysław Neryng. (Podług nadesłanej fotografii.)

ślą oświecone jego obejście się.

Powrócił więc do swych zajęć naukowych i szkolnych w gimnazjum poznańskim; lecz po trzech latach przypomniał się nam dziełem „Kurs literatury polskiej, dla użytku szkół, 1866 r. Dzieło temu, tak upragnionemu w nauce języka polskiego, poświęciliśmy obszerniejszy przegląd w N. 372 i 373 Tygo-

znaczny.

Spojrząwszy na nowoogłoszone pisma szanownego profesora, znaleźliśmy, że uwagi nad Hejdensztejnem przypomniły nam dobrze znakomitego statystę, pisarza i człowieka, którego tak mało znaliśmy, że jeszcze 1861 r. w Historii literatury polskiej p. Bartoszewicza, najznakomitsze dzieło Hejdensztejna

„Dzieje Polski za Henryka i Stefana Batoro-
przynane jest Albertrandemu. P. Neryng wyka-
zał, że *Rejnold* Hejdensztejn był autorem nie tylko Pa-
miętników wypraw Batorowskich, lecz i samej histo-
ryi, nie zaś syn jego Jan, kasztelan gdański, który
je wydał (strona 34). Że tłumacz, p. Gliszczyński,
nie porównawszy wydania frankfurckiego z rękopi-
sami, często dowolnie tekst pozmięniał „rozcinając
wątpliwość po Aleksandrowsku“; więc potrzeba było-
by poprawniejszego wydania historyka „który pod
względem bogactwa materiału, zdolności i ważności
przedstawionej epoki do najlepszych należy“. W o-
góle sąd w tej rozprawie gruntowny i uzasadniony;
tylko niesłusznie autor zarzuca Hejdensztejnowi
zbytnią *objektywność* i mówi: „dlatego jego historia
nie ma barwy i tego ciepła ożywczego, jakie z prze-
konań autora płynie do osnowy powieści“... „Każdy
według własnych pojęć i przekonań gotowych pozna-
je przeszłość“ (str. 48 i 49). Co do tego punktu
wolimy raczej zdanie Hejdensztejna „że komentarze
powinny bez wszelkich ozdób, poglądów i zdań, tyl-
ko najprawdziwiej wypadki opisywać“. Toż samo
stosuje się i do historyi, tylko że ona żywo, barwnie
przedstawia obraz życia—ale barwa jej nie dzisiej-
sza—tylko właściwa przedstawianej epoce. Histo-
rya powinna być nauczycielką, lecz nauka w niej ma
płynąć nie „według znacznych pobudek i sądów hi-
storyka,“ bo te mają chwilowe tylko znaczenie i coraz
się zmieniają; lecz z samego dramatu życia, co raz
stawszy się faktem, nazawsze świadczyć będzie o lu-
dziach i epokach. Kunszt historyka ma tylko dać
obraz rzeczywisty, żywy i charakterystyczny osób,
narodów i wieków. Niech one żyją i działają znów
w obrazie, jak żyły i działały na scenie czasu, a my
sami z ich czynów brać będziemy naukę, w miarę
duchowych potrzeb naszych. Rozprawianie history-
ka ma znaczenie sensu w bajce: zła to bajka, którą
objasnić trzeba.

W rozprawie o Joachimie Bielskim, p. Neryng, opo-
wiedziawszy jego żywot i potwierdziwszy przyjęte
zdanie, wynoszące Bielskiego za jego język, ujmuje
mu wiele wziętości jako historykowi. Szczegółowo,
po pilnym porównaniu z cenniejszymi kronikarzami
i współczesnymi historykami, wykazuje że Joachim
Bielski, zamiast zbierać treść historyczną z pierw-
otnych źródeł, wolał brać ją z gotowych dzieł. I jeszcze
na przykład wytwornego Kromera przekładał nad
Długosza, który do czasów piérwszych trzech Jagiel-
lonów jest prawdziwie źródłowym pisarzem. Dalej
po Kromerze brał z Decyusza, Orzechowskiego, So-
likowskiego i Hejdensztejna, do archiwów zaś, cho-
ciaż później, (właśnie gdy pisał historią,) był sekre-
tarzem królewskim, nie zaglądał. Zatem podane przez
Bielskiego fakta są już z drugiej ręki. Co do autorstwa
„Kroniki polskiej“ między ojcem a synem, p. Neryng
przynaję ją stanowczo synowi, tylko że lubiąc wy-
pisywać z innych, gdzie mógł brał całkowicie z ojc-
owskiej „Kroniki świata“. Co się tyczy końca kroniki
Bielskiego, wydanej przez p. Sobieszczańskiego, pan
Neryng postawił wątpliwość co do jej autora. Ustęp
z tej rozprawy, mieszczący ogólny pogląd na history-
ków XVI wieku (str. 28 i 29) jest trafny i piękny,
jakby wzięty z wyborniej historyi literatury.

Rozprawa o J. D. Solikowskim jest szerokim i ma-
lowniczym już obrazem historycznym. W poprze-
dnych dwóch rozprawach autor był więcej bada-
czem, pracowicie porównującym różne teksty,
aby z nich wysnuć uwagi krytyczne; tu zaś, rozpa-
trzywszy się głębiej w wieki przy pracach poprze-
dnych, kręśli pełny i interesujący obraz jednego z cel-
niejszych jego działaczy, otoczonego wielu cieka-
wymi osobistościami. Taki postęp w pracy podniecił
w nas żądę oglądania również objaśnionych Orzel-
skiego i Fredry, a potem i najświetniejszego z tych
wstępnych prac owocu, żywota wielkiego kanclerza.

Od prac tych przechodząc do ostatniej w porząd-
ku ich wyjścia na świat, do Kursu historyi litera-
tury polskiej, stotankowo do nich uważamy ją za
daleko słabszą, i znów przychodzi nam powtórzyć co
przed dwoma laty powiedzieliśmy w Przeglądzie
piśmienniczym Tygodnika Illust., że autor widać za-
mierzył sobie opracować tylko ostatnie czasy litera-
tury naszej, co też wykonał bardzo dobrze, nieraz
wybornie; ale cztery piérwsze okresy przedstawione
nader niedostatecznie. Są to lekkie tylko skróty, nie
dające dobrego pojęcia o naszym rozwoju umysłowym.

Wreszcie, strzeszczając sobie wrażenie otrzymane
po przeczytaniu ogłoszonych drukiem prac p. Neryn-
ga, przyznajemy mu dobrą metodę naukową, którą
znajdujemy w tém, że bada trzeźwo, bez zbytnich
zaciekań w drobiazgi, że owoce swych badań i sądy
wypowiada bardzo oględnie, zeicha, bez pompaty-
cznego przyboru świetnych wyrazów i zwrotów. Pra-
cę skrzętną wykazuje tu sama rzecz, rozsuwająca
się naturalnie i z domysłów przechodząca w jasną
prawdę. Ten przymiot bacznej powściągliwości mo-
że zalecić szanownego profesora i na jego nowem sta-
nowisku.

W. Grochowski.

Kronika tygodniowa.

Pomówmy o rzeczach nadzwyczajnych; zwyczajne
bowiem krążą w kółku tak jednostajnym, nudnym,
a nieraz i przykrém, że czasem nie zawadzi zapo-
mnieć trochę o nich.

Owóz w Płocku, jak upewnia korespondent je-
dnego z pism tutejszych, zjawił się nowy Józef
z Egiptu.

Jest to Cygan, który nie tłumaczy wprawdzie zna-
czenia snów, jak jego hebrajski poprzednik, ale je
odgaduje.

Dosyć wymieni mu jakie były zajęcia dnia po-
przedzającego sen, a on z tego wnioskuje o śnie sam-
ym wyciągnie niezawodny.

I podobno nigdy się nie myli, a nawet osobom
które o śnie swoim zapomniały, stawia na pamięć
szczegóły, które im przypominają marzenia nocne.

To dobre dla tych którym się śni coś. Ale jakże
będzie z tymi, którzy zupełnie prawie snów nie
mają; a podobno ludzie zdrowi, zwłaszcza na żołą-
dek, należą do tej kategorii.

Niewiadomo nam doprawdy jak sobie wspomniony
Cygan z podobnymi daje radę; bo albo ich zajęcia
dzienne nie musiały oddziaływać na wywiązywanie
się marzeń nocnych, albo teoria Cygana kuleje
w pewnym względzie.

W każdym razie, ponieważ rzecz podana jest za
prawdę i nie ma zresztą w sobie nic tak nieprawdo-
podobnego, należałoby zbadać za pomocą jakich to
kombinacji Cygan dochodzi do tak trafnego odga-
dywania; korespondent bowiem dodaje, że z kilku-
nastu osób, które sprawdzały jego sztukę, ani na
jednej się nie pomylił.

* * *

Zresztą Płock nie tak daleko pod tym względem
odbiegł od Paryża. I tam zaczyna napowrót wcho-
dzić w modę chiromancya, czyli sztuka wróżenia
z dłoni.

Jako najmłodniejszy chiromanta, wielką cieszący
się wziętością pomiędzy pięć piękną paryżką, sły-
nie tam niejaki Edmond, który już dawniej niemałe
dochody zbierał ze swojego wróżbiarstwa, a od trzech
czy czterech lat zamilkł był zupełnie.

Obecnie rozpoczął nanowo i nie opuściła go da-
wna wziętość, mnóstwo bowiem ludzi ciśnie się do
niego, suto mu płacąc za posiedzenia.

Ale jest tam inny jeszcze człowiek, który chi-
romancyą starał się ująć w formuły naukowe i wydał
nawet parę poważnych (przynajmniej z objętości)
dzieł w tym przedmiocie.

Tym człowiekiem jest Desbarolles.

Wprawdzie z Desbarollem nie mieliśmy sami sto-
sunków, ale widzieliśmy ludzi którzy niezupełną
może przywiązując wiarę do jego przepowiedni, za-
dziwieni zostali łatwością z jaką po obejrzeniu dłoni
odgaduje wszelkie cechy charakteru, przymioty lub
wady osoby nieznaną sobie wcale, do której ta dłoń
należy.

Między innymi Henryk Litolf, za ostatnią swoją
bytnością w Warszawie, opowiadał nam, że mu nie-
tylko Desbarolles dał najdokładniejszy opis jego
charakteru, usposobienia, przeszłości całej i wybi-
tniejszych chwil życia, ale nawet wywróżył parę
wypadków, które się potem sprawdziły.

Ciekawi jesteśmy czy jeden, i to najważniejszy
z tych faktów przepowiedzianych Litolfowi, jeszcze
się sprawdzi, co dotychczas nie miało miejsca.

Jeżeli tak się stanie, a otrzymam o tém podług przy-
rzeczenia znakomitego fortepianisty listowne zawi-
domienie, nie omieszkać dla samej szczególności fak-
tu donieść wam o nim, czytelnicy.

* * *

O tym Desbarollu rozpowiadają obecnie dzienni-
ki ciekawą anegdotkę.

Pewien bogaty bankier przyszedł do niego o po-
radę, a nic w tém dziwnego, bo przecież, jak wiado-
mo, Napoleon nawet chodził do panny Lenormand.

Desbarolles, przypatrzawszy się ciekawie ręce
bankiera, rozpowiedział według swego zwyczaju ca-
łą jego przeszłość, która rzeczywiście okazała się
zgodną z prawdą, następnie zaś przystąpił do opo-
wiadania przyszłości.

— Czy długo żyć będę? zapytał bankier.

Wróżbita zwykle na zapytania tego rodzaju nie
lubi dawać jasnych i wyraźnych odpowiedzi. Ale
tym razem bankier żadną miarą ustąpić nie chciał,
pragnąc koniecznie dowiedzieć się kategorycznie, ile
mu czasu jeszcze do życia pozostaje i co mu zagra-
żać może.

Wreszcie Desbarolles, nie mogąc już się wybieść
od żadanego wyjaśnienia, rzekł:

— Pańska linia życia (wróżbiarstwo chiromanty-
czne zasadza się na badaniu linii na dłoni, które
mają oddzielne swoje nazwy) jest dość długa i wy-
rażną, tylko...

— Tylko co?

— Widzę na niej...

— Cóż takiego pan widzisz? wytłumacz się z ła-
ski swojej jasno.

— Widzę na niej wypadek który panu zagraża.

— I jakiegoż to rodzaju ma być ten wypadek?

— Wystrzegaj się pan kolei żelaznej.

— Tego się bynajmniej nie lękam, odpowiedział
bankier, cofając rękę. I tak nie lubiłem nigdy po-
dróżować, a obecnie, jeżeli wypadnie mi gdzie je-
chać, to pojedę sobie po gospodarstwu w powozie,
i możesz pan być spokojnym, że się jego przepowie-
dunia nie sprawdzi.

Tak się też i stało.

Nie brakło pieniędzy bankierowi na branie koni
pocztowych w razie nagłego nawet interesu, a choć
niby śmiał się z przepowiedni, jednak strzegł się wa-
gonów jak ognia.

Od tego czasu, kiedy mu się zdarzyło spotkać
Desbarolla na ulicy, zaczepiał go z miną drwiącą,
mówiąc:

— Jakoś ze mną prorocstwo się nie udało.

Cztery czy pięć lat rzeczy szły tym torem, kiedy
w bieżącym roku dzienniki doniosły o samobójstwie
pana ***.

Był to tenże sam bankier, a odebrał sobie życie
wystrzałem z pistoletu, skutkiem nieszczęśliwej
operacji na akcyach kolei żelaznych hiszpańskich.

Jakkolwiek o prawdziwości tego wypadku wątpić
sobie pozwalamy, nie idzie jednak za tém, aby z dło-
ni ludzkich żadnych wniosków wyprowadzać nie
można.

Jeżeli naprzykład widziemy rękę jakiego jegomo-
ści, spadającą na policzek innego, możemy bez
obawy narażenia się na pomyłkę twierdzić, że ów
jegomość jest *usposobienia gwałtownego*.

Jeżeli na spacerze lub w teatrze spotkamy czyjąś
rękę w naszej kieszeni, idźmy śmiało o zakład, że
indywiduum do którego ta ręka należy jest *złodziej-
skiego usposobienia*.

Ręka wyciągnięta przed siebie błagalnie, dowodzi
usposobienia do żebrania.

I tak dalej i dalej...

* * *

W ogóle kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy u nas
skarżą się na brak odbytu. A jednak, dziwna rzecz,
wszystkie nowopowstałe zakłady, a nawet dawne od-
nowione, odznaczają się wytwornością i zbytkiem.

Przy opisach tego rodzaju, (a nie szczędzą nam
ich, i to najdokładniejszych) wydaje nam się jakby
to były kartki jakichś opowieści, wyjęte z Tysiąca
nocy i jednej. Schody marmurowe, salony, buduary
kosztowną materią wybite, kobierce tureckie, namioty
w guście perskim, brzozy i rzeźby starożytne,
słowem wszystko co tylko wymarzyć można do ozdoby

by magnackiego pałacu, służy za sztyl takim nowopowstałym zakładom przemysłowym.

Na wydatki tego rodzaju niemało wychodzi pieniędzy, a ileż to zarobić trzeba, żeby tak ogromne koszta się powróciły!...

Wystawy sklepowe coraz są ozdobniejsze. Nie dowodzi to wprawdzie żeby sklep był zasobny w towary, lecz zawsze bije w oczy.

Pytanie jednak czyby publiczność, a nawet kupiec lub przemysłowiec, nie lepiej na tym wyszli, gdyby oszczędziwszy trochę na tych kosztach ekspozycji, wpływającej tylko na podrożenie sprzedawanego towaru, starali się raczej zachęcić kupujących przystępną ceną.

Obecnie bowiem, chcąc jakikądy proceder założyć, trzeba ogromnych funduszy na same koszta zakładowe, a że fundusze niezawsze starczą, konieczność zmusza uciec się do kredytu, coraz bardziej utrudnionego.

Dlatego to widzimy wielu takich, którzy przy samém już rozpoczęciu kariery przedsięwziętej w nieszczęśliwych znajdują się interesach, a nic dziwnego że potem trudno im podeprzeć się i wyjść z długów, które samém oplacaniem wielkich procentów coraz bardziej się mnożą.

Nie powinniśmy pod tym względem zapatrywać się na przemysł wielkich miast zachodnich.

Tam prowadzą się interesa na bardzo obszerną skalę. Każde z wielkich miast europejskich jest niejako osobnym bazarem, do którego oprócz miejscowych, mnóstwo obcych napływa gości.

Warszawa tém się poszczycić nie może i tylko na miejscowe siły liczyć musi, a te, jak każdemu wiadomo, są bardzo ograniczone.

Taki handel lub zakład przemysłowy przypomina nam ów mały pałacyk, do którego, zbudowano świetny perystyl i schody olbrzymie, niezgodne z całością. Któs zrobił wtedy uwagę, że właściciele powinni pilnie strzedz pałacyku, ażeby im przez schody nie uciekli.

Tak samo handel lub zakład przemysłowy uciec może przez wystawę, a już go pewno w takim razie właściciel nie dogoni.

* * *

Gdyby chcieli przymierzyć do tego dawniejsze skromne urządzenie sklepów, składów i zakładów przemysłowych warszawskich, w istocie trudno byłoby dać wiarę, jakim sposobem w tak krótkim stosunkowo czasie, tak ważne mogą zajść zmiany.

Ale zato choć sklep wystawą nie błyszczał, wewnątrz było pełno i suto, i to towarów nie na kredyt pobranych. Jeden skład ówczesny starczyłby niezawodnie na zapłacenie trzech lub czterech dzisiejszych...

Nie było ogromnych żelaznych kas bezpieczeństwa, rozwalających się dumnie po kantorach i opatrzonych sztucznie zamkami amerykańskimi, mającymi chronić od kradzieży puste nieraz szuflady; ale zato w stariej dębowej skrzyni, żelazem obitej, chowały się całe stopy złotych i srebrnych pieniędzy, do których za każdym otwarciem przybywał nowy kontyngens.

A i dorabiający się człowiek, pod względem urządzenia lokalu na własny użytek przeznaczonego, nie pragnął bynajmniej współzawodniczyć z nababami indyjskimi i w przesadzonej opinii o własnej godności, nie przybięrał miny księcia udzielnego. Owszem, zachowywał się skromnie, przyzwoicie, oszczędnie, przekonany o tej prawdzie, że im mniej kto bije w oczy, tém lepiej dla niego.

W domu było zasobnie, gościnnie, ale zbytków unikano. Procederzysta pilnował chleba z którego żył, wiedząc iż takim sposobem najszybciej potrafi sobie zarobić na dobre imię i szacunek u ludzi.

To też dawniejsi dobrabiali się majątków i zostawiali dzieciom, oprócz znacznego dziedzictwa, imię czyste i szanowane, które samo już było nieocenionym dla tych spadkobierców skarbem.

Dzisiaj zaś, pomimo ogromnego podwyższenia cen w ogóle, wszystko idzie na wystawy uliczne i życiową wystawę, i wielkie szczęście jeżeli się koniec z końcem zwiąże, a dzieci przynajmniej z nienadwężonego kredytu korzystać mogą.

* * *

Pani Modrzejewska stanowi ciągle główne zajęcie Warszawy, i dowiadujemy się że bilety na spodziewany wkrótce benefis téj artystki już są zupełnie prawie rozkupione.

Na wystąpienie to benefisowe wybrała podobno została stanowczo komedia Wiktoryna Sardou p. t. Nasi najserdeczniejsi.

Jestto utwór żywy, zręczny, dowcipny, francuzki w całym znaczeniu tego wyrazu. Sardou jest wyrazem lżejszego rodzaju obecnej szkoły dramatycznej we Francji. Szczerze wyznajemy, że gdyby od nas wybór zależał, wolelibyśmy jaką sztukę poważniejszą; ale wymagania teatralne mają swoją konieczność: trzeba było wystąpić z nowym utworem, a komedia o której wspominamy znalazła się pod ręką, przygotowana prawie już zupełnie. W każdym razie zrobi ona swoje, jest bowiem pewna część publiczności, która ubiega się za tego rodzaju lekką zabawą, a oprócz pani Modrzejewskiej, publiczność ta ujrzy na afiszu magiczny wpływ wywierające nazwisko Żółkowskiego, oraz kilku innych ulubionych artystów, którzy rozdzieliли pomiędzy siebie główne role téj komedii.

Oprócz więc niewątpliwego powodzenia benefisowego, można jeszcze śmiało przepowiadać „Naszym najserdeczniejszym“ kilka pełnych przedstawień.

Wiadomo nam również, że i kilka oryginalnych sztuk czeka na swoje kolej, a obecnie, przy rozbudzonym silnie ruchu teatralnym i staranności reżyserji, spodziewać się należy że nie będą one długo czekały.

* * *

Mścislaw Kamiński, który w ostatnich zwłaszcza czasach dał obfite dowody użytecznej działalności literackiej, umarł w tych dniach w sile wieku.

Był on skrzętnym i sumiennym zbieraczem wiadomości głównie dotyczących obyczajów, zwyczajów, przesądów i zabobonów ludowych, a pomiędzy licznymi materyałami jakie mu podpadały pod rękę, umiał trafny zawsze robić wybór.

Niestety! również jak wielu innych towarzyszy pracy w zawodzie jaki sobie obrał, Mścislaw Kamiński musiał walczyć z trudnościami materyalnego bytu, i właśnie natężenie pracy i zdwojenie trosk codziennych spowodowało chorobę i śmierć przedwczesną tego pracownika pióra.

W następnym numerze Tygodnika damy obszerniejsze o nim wspomnienie.

* * *

Inną jeszcze stratę, choć całkiem odmiennego rodzaju, poniosło miasto nasze w upłynionym tygodniu. Jeden z najstarszych i najzacniejszych obywateli warszawskich, Jan Krzysztof Krause, umarł d. 1 b. m., mając lat 90.

Skromna, nierozgłośna była praca nieboszczyka, bo zamknięta wyłącznie prawie w zakresie obywatelskiej posługi dla tutejszej gminy ewangelickiej, krórej był współwznowcą; ale w téj sferze śmiało za wzór wytrwałości i poświęcenia postawić go można. Przez lat 50 bez przerwy, jako członek kolegium kościelnego, służył swojej gminie na urzędzie *obywatelnym* i *bezpłatnym*. To dosyć, aby uwydatnić wielkość jego zasługi i popularność jaką cieszył się w ciągu długoletniego żywota.

Przed trzema laty koledzy obchodzili pięćdziesięcioletni jubileusz sędziwego patryarchy swojego. Pochylony wickiem starzec opuścił wtedy ich grono, nie czując się już na siłach do dalszej pracy dla bliźnich, których sercem gorąco ukochał; ale ślad zanych jego trudów pozostał w pamięci wszystkich co go znali, i kolegium zboru ewangelickiego, w ocenie półwiekowej zasługi, mianowało go *dożywotnim*, honorowym swoim członkiem.

Niewielu mamy ludzi podobnych s. p. Krausemu. Cześć jego cichej a wytrwałej pracy, cześć pamięci szlachetnego człowieka!...

Przegląd polityki zagranicznej.

6 listopada.

Dzienniki zagraniczne dotąd jeszcze zajmują się mową p. Beusta, pomimo iż kanclerz austriacki nie

przemawiał publicznie i tylko na posiedzeniu komisji wojskowej przedstawił możliwość wojny Prus z Francją. Widać jednak że przemówienie kanclerza wielkiej było wagi i szerokiego doznało rozgłosu, skoro rząd austriacki uznał za stosowne wysłać depeszę w formie okólnika do swoich reprezentantów, celem zaprzeczenia obiegającym pogłoskom. Dzienniki téż austriackie dowodzą zaczynają, że uzbrojenie Austrii wypływa jedynie z groźnej postawy Rumunii, tak dalece iż według Neue fr. Presse, Anglia w porozumieniu z Francją i Austrią zaproponowały rządowi tureckiemu, aby wezwał mocarstwa poręczające i ostrzegł rząd rumuński. W tych dniach, dekretem cesarza Franciszka Józefa, delegacye obu państw, to jest węgierska i przedlitawska, powołane zostały do Pesztu. Wypadek ten głęboko zmartwił centralistów, widzą w nim bowiem dotykany dowód, że Austriya coraz więcej zwraca się ku Wschodowi, a przenosząc swój środek ciężkości do Węgier, oddala się coraz bardziej od misji niemieckiej. Gazety pruskie, głównie zaś Szlązka, dowodzą, że narady w Peszcie pozostają w związku ze sprawą rumuńską, Węgrzy bowiem przychylni są polityce wojennej i sprzyjają sprzymierzeniu się z Francją. Z drugiej strony austriackie i niektóre włoskie pisma utrzymują, że stosunki Austrii z Włochami są coraz lepsze. Według depeszy z Berlina 4 listopada, w dniu tym nastąpiło otwarcie posiedzeń izb sejmowych. Król Wilhelm miał mowę, której szczegółów dotąd nie mamy; telegram wspomina tylko że mowa poświęconą była wyłącznie sprawom miejscowym, że król wspominał o dobrych stosunkach z mocarstwami i wyraził nadzieję, że interesa ekonomiczne nie doznają żadnego szwanku. Hr. Bismarck nie był obecnym przy otwarciu posiedzeń i dotąd przebywa na Pomorzu. Utrzymują, że hrabia stawia warunki powrotu do władzy, że te warunki nie mogą być przyjęte i że w skutek tego generał Manteuffel obejmie tekę ministerstwa spraw zagranicznych.

Utrzymywaliśmy od samego początku, że wszelkie pokojowe manifestacye rządu francuzkiego dopóty nie znajdą u ogółu wiary, dopóki rząd ten znacznym rozbrojeniem ogromnych swych sił faktycznie nie potwierdzi stanowiska pokojowego. Nie dziwi nas przeto, że ogłoszone przez rząd francuzki trzy mapki nie przekonały nikogo. Nietylko po za granicami Francji, ale i wewnątrz, prasa otwarcie głosi, iż jeżeli mapki te rzeczywiście dowieść mają że Francya jest obecnie większą i silniejszą, to czemuż im nie towarzyszy ogólnie lub przynajmniej znaczne rozbrojenie? Wprawdzie rząd francuzki mógłby odpowiedzieć na to, że i Prusy są uzbrojone, lecz bezstronność nakazuje wyznać iż łatwiej zrozumieć cel i dążność gabinetu berlińskiego, popierającego otwarcie ideę jedności Niemiec w krajach niemieckich nie należących do Francji, aniżeli dążność rządu francuzkiego, pozostającego w tajemniczej, sfinksowej postaci. Wszystkowiedze polityczni sparzyli się już nieraz na swych przepowiedniach w zamiarach Napoleona III, nie przeszkadza to im wszakże głosić dziś, że postawa rządu francuzkiego jest wyczekującą, z powodu nieukończonych wyborów w Anglii i że cesarz Francuzów w działaniach swych stosuje się do rezultatu tych wyborów. Innymi słowy: jeżeli torysi wezmą górę — to wojna, jeżeli liberalni — to pokój. Pominąwszy te i inne kwestye, główna uwaga Francji zwróconą jest ku Hiszpanii, kędy wybór nowej formy rządu dotąd nie nastąpił, a według zapewnień gazet, stronnictwo republikańskie górę brać zaczyna nad monarchistami. Jakkolwiek ten stan rzeczy nie jest naturalnym, z powodu znanych monarchicznych uczuć ludu hiszpańskiego, lecz z drugiej strony nie jest téż niemożliwym, i bardzo być może iż generał Prim skrycie nad dyktaturą pracuje. Z Florencji piszą do Paryża, że parlament włoski zgromadzi się w dniu 23 b. m.

Od dni kilku dzienniki amerykańskie i angielskie donosiły o wyborach w Stanach Zjednoczonych północnych i o sympatji okazywanej przez wielu wyborców generałowi Grantowi. W d. 4 b. m. otrzymaliśmy lakoniczny telegram, z którego się okazuje że Grant wybrany został na prezydenta Stanów, a Colfax na wice-prezydenta. Bliższych szczegółów téj ważnej zmiany dotąd nie znamy.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

MAŻ UPATRZONY,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

W tój chwili wszedł prawnik do pokoju. Pani Alfonsowa przyjęła go łaskawym skinieniem głowy.

— Cóż tam, panie Henryku, zapytała po chwili, wskazując ręką na krzesło opodal, czy ojciec już wszystko wymłócił?

Akademik uśmiechnął się cierpko, spojrzął z uwagą na ciocię Euzebią, która z niego oczu nie spuszczała i odparł:

— Pani zbyt łaskawa, że chce zapoznać mnie ze wszelkimi szczegółami gospodarstwa. Przed kilkoma dniami musiałem egzamin zdawać, ile pszenicy miele się we młynie naszym angielskim i dlaczego nie młóci się koniczyna, gdy jest odwilż i wilgotno na dworze. Dzisiaj chce mnie pani z młocką zapoznać; a ja przedtém prosiłbym o łaskę, aby pani dobrodziejka raczyła mnie przedstawić....

Tu powstał z krzeselka prawnik i stanął w pozycji gotowej do ukłonu przed ciocią Euzebią.

Prezentacja nastąpiła, chociaż nie obeszła się bez ironicznego uśmiechu cioci Euzebii. Podobała jej się odpowiedź prawnika. Oglądała go więc od stóp do głowy, od rękawa do koiniérza, jakby się dziwiła zkad zwykły akademik mógł nabyć tój wprawy towarzyskiej rozmowie. Przegląd ten wypadł zapewne dosyć korzystnie dla akademika, bo ciocia uśmiechnęła się przyjaźnie.

Młody prawnik mógł się rzeczywiście podobać. Miał twarz regularną, lekkim zarostem ocienioną. W oczach widać było rozsądek i wykształcenie. Do tego młodość dodawała mu także uroku, i mógł uchodzić za przystojnego człowieka.

Rozmowa przeszła od młocki na inne pole. Mówiono o pogodzie, o śniegach i zawiejach, o nadzwyczajnym wypadku w Jamnikach, gdzie córka właściciela dóbr odważyła się pójść za doktora, słowem mówiono o bieżących i niebieżących rzeczach, o wszystkim co tylko na myśl przychodziło pani Alfonso-

Spostrzeżenie to dało cioci Euzebii nieco do myślenia. Snuła właśnie jakąś ciekawą myśl po wątku, gdy nagle za drzwiami zaszeleściła suknia jedwabna. Do pokoju weszła Sydonia.

Była to rzeczywiście piękność nadzwyczaj uderzająca. Wzrost mierny, kibić wcięta i elastyczna, kształty pełne, białeśny i rąk bajeczna. Była to barwa bladój róży, pomieszana z kolorem liliowym. Na twarzy nie ujrzałeś żadnych ostrych linii ani kątów. Wszystko zaokrąglano się w jaknajpiękniejszej



Prawnik.

harmonii. Usta prześliczne zaledwie do połowy przykrywały białe jak perły drobne ząbki. Ponad niemi podnosił się lekko z jakimś kaprysikiem dziecięcym kształtny nos do góry. Najwyższą jednak ozdobę tój ładnej twarzy stanowiły podłużnie skrojone oczki, koloru szklisto-niebieskiego. Oczy te były duże i dosyć wypukłe, z wyrazem smutnym i melancholijnym, mimo orzeczenia pani Alfonsowej, że Sydonia jest wesołą. Zdawało się, że na dnie tój błękitnej tkanki spoczywają wyższe myśli i głębokie uczucia. Wrażenie tych oczu było dziwne. Poruszały się one powoli, z pewnym uporem. Na kogo jednak padły, ten czuł je ciężące na sobie, choćby ich nawet nie widział. Oczy te ostaniała długa, jedwabna rzęsa, ponad którą w kształtnych półłukach wyskakiwały ciemne, gęste brwi. Piękne, niby myślące czoło, okrywały bujne zwoje włosów kasztanowatych.

Miała na sobie suknię jakiegoś niepewnego koloru, w białe paseczki. Z pod grubych fałdów wydobywał się do połowy malutki bucik safianowy, obszyty czarną, świecąca skórka.

Ciocia Euzebia długi czas patrzyła z uwagą na tę piękną postać. Z niejakiem zamyśleniem zbliżyła się do niej i przywitała. Sydonia powitała wszystkich serdecznie, z jakąś dziecięcą szczerością. Ciocię Euzebią ucałowała serdecznie i żartobliwie nazwała niedobłą, nieznośną ciocią.

— A, o panu Henryku ledwie nie zapomniała, rzekła Sydonia, podając mu rękę. Dobry to znak dla pana. Niezawodnie ożeni się pan tego karnawału.

Po twarzy Henryka przebiegł lekki rumieniec. Spojrzął na Sydonię, ale ta już patrzyła gdzieindziej, zajęta rozmową z ciocią Euzebią. Te duże, niebieskie oczy były w tój chwili daleko, strasznie daleko od niego!...

Ciocia Euzebia zato pilnie spoglądała to na Sydonię, to na Henryka, była ożywiona, rozpromieniona, tryskająca życiem. Niebieskie oczy Sydonii patrzyły jednak. Nie było w nich ani jednego żywszego połysku, ani jednej ciemnej chmurki. Spoglądała z całym zajęciem na ciocię Euzebią i słuchała jej z uwagą.

Po niejakiem czasie opuściła ją panna Euzebia i przysiadła się do pani Alfonsowej. Siadła jednak w ten sposób, aby mogła dobrze widzieć Sydonię, która teraz zmuszoną była rozmawiać z prawnikiem.

Ciocia Euzebia prowadziła po mistrzowsku rozmowę z panią Alfonsową. Niktby się nie był spodziewał, że cała jej bacność zwrócona jest na kogo innego. Nie spuściła z uwagi ani jednego wejrzania, ani jednego słówka, które zamieniali z sobą oboje młodzi, jak się domyślać chciała, kochankowie.

Tymczasem to co spostrzegła, nie mówiło bynajmniej za tём. Duże oczy Sydonii szklily się wprawdzie, ale blask ich był spokojny i zimny, jak blask lodu śród najtwardszej zimy. Czasami zdawało się, że słuchając go, wpada mimo chęci w jakieś zamyślenie i roztargnienie. Wprawdzie uśmiech jej, gdy prawnik coś pochlebnego jej powiedział, był tak i chwytający za serce, tak biedną ofiarę do siebie garnał, że tylko człowiek niezupełnie dla niej obojętny powinien był taki uśmiech widzieć. Ale po uśmiechu następował znowu spokój, głuchy, obojętny spokój, który domyślnemu gościowi radzi czémprędzej urwać rozmowę, jeżeli nie zechce widzieć, jak się te piękne usteczka do ukrytego ziewania kurczowo otwierają.

Prawnik przeciwnie był cały rozpromieniony. Zdawało się że żył w tój chwili potrójnym życiem. Po jego twarzy przebiegały ustawicznie jakieś świetlane majaki, jakby prądy iskier elektrycznych. Ciemne oczy tryskały ogniem i rzucały błyskawice, jak niebo lipcowe. Stał się nadzwyczaj wymownym, a słowa płynęły mu z ust, jak wiersze z piersi improwizatora natchnionego. Gestykulował żywo, bez względu na obecność trzecich osób i czujność oczu cioci Euzebii.

Zebrawszy to wszystko razem, przyszła ciocia Euzebia do tego przekonania, że z jednej strony jest chęć i wola do bliższego stosunku, z drugiej jednak albo niema jej wcale, albo ją powstrzymuje wysoko wyrafinowana przebiegłość niezwykłej kobiety.

Zainteresowało to spostrzeżenie ciocię Euzebią, która lubiła zawsze o czémś myśleć i mieć coś w głowie do łamania. To tóż Sydonia i prawnik byli dla niej nader ciekawym tematem.

Należało przytém i to jeszcze mieć na uwadze, że Sydonia pochodziła z rodu arystokratycznego. Po ojcu odziedziczyła mierny majątek i tytuł hrabianki, po matce została jej mitra książęca i jakaś tam historia niezbyt budująca. Matka lubiła życie wesołe i odpowiednie temu usposobieniu towarzystwo. W jej domu bielilo się od mundurów wojskowych, jeśli to była piechota, lśniło się od srebra i złota, je-



Hrabia Gottfred.

śli goście rekrutowali się z konnicy. Hrabia-mążonek znosił dosyć długo to wojenne towarzystwo, aż razu jednego zniecierpliwził się i odszedł na „Lyczaków“, który we Lwowie to znaczy, co w Warszawie „Powązki“. Tam długi czas spoczywał sobie rad i szczęśliw, póki obok niego, po dziesięciu latach separacyi, nie ulokowała się urodzona księżniczka i tak blizkiem sąsiedztwem niezatrula mu spokoju aż do sądneho dnia. Sydonia liczyła wtedy lat dwanaście.



Sydonia.

wój, cioci Euzebii i prawnikowi.

Podczas tój rozmowy spostrzegła ciocia Euzebia, że prawnik trochę niepokoił się na krześle. Cóż go piekło i klęło, bo wiercił się na wszystkie strony. Za lada szmerem spoglądał ku drzwiom, a gdy te się otwierały, lekki rumieniec ożywił jego twarz bladą. Nawet kilka razy dosyć widocznie obejrzał się naokoło, jakby mu się wydawało, że jeszcze ktoś więcej do towarzystwa ma należeć, który już dawno nadejść był powinien.

Obecnie miała Sydonia tylko ciocię, która się nią opiekowała. Ciocia posiadała małą fortunę. Połączony jednak dochody tej fortunki z procentami od posagu Sydonii, mogły obie żyć dosyć wygodnie, a nawet w lecie za granicę wyjechać. Stale mieszkaly na wsi, tylko pod koniec karnawału na kilka tygodni przyjeżdżały do Lwowa.

Dzisiaj ciocia Sydonii zmuszoną była pojechać w interesach rodzinnych do swego brata na Wołyń. Sydonia na ten czas zostawiła na opiece dobrej swej przyjaciółki, pani Alfonsowej.

Zapoznawszy się naprędce z dotychczasową historią życia panny Sydonii, wracamy napowrót do salonu.

Rozmowa toczyła się tam o różnych rzeczach. Ciocia Euzebia brała Sydonię w różne ognie, ale niczego nie mogła się dowiedzieć. Prawnik widocznie zapalał się coraz więcej do tych dużych, wypukłych oczu, coraz prędzej gestykutował rękami, opowiadając jakiś napad rozbójników na dwór sąsiedzki, a potem komentując ostatnią mowę Napoleona do ciała prawodawczego. Sydonia była grzeczna, słuchała go z uwagą, uśmiechała się; najmniejszego jednak ożywienia nie było na jej twarzy.

Już zwątpiła o wszystkim ciocia Euzebia i chciała zaprzestać swoich spostrzeżeń psychologicznych, gdy znowu pod oknami coś zaturkotało, a nagle ruch w przedpokoju zapowiadał, że przyjechał jakiś gość niezwykły.

W samej rzeczy drzwi otworzyły się zupełnie inaczej, niżeli dla prawnika. Pchnięte po dwakroć kulakami lokaja, odskoczyły z hałasem i uderzyły o mur z trzaskiem.

— A! hrabia Gotfred! wyrzekła Sydonia, wracając do rozmowy.

— Fredzio! kochany Fredzio! zawołała pani Alfonsowa i pospieszyła na powitanie kuzyna.

Hrabia Gotfred był cioteczynym bratem pani Alfonsowej.

— A gdzie Alfons? zapytał Fredzio, poglaskując łysiejące nieco czolo.

— Ach, jakżeś zawsze niegrzeczny ze swoim roztargnieniem! zawołała pani Alfonsowa z grymasikiem.

— Pardon, podjął szybko hrabia Gotfred, podając rękę pannie Sydonii i kłaniając się ciocie Euzebie, pardon. Tak nabiłem sobie głowę, że muszę widzieć Alfonsa i z nim mówić, iż uczułem nagle jakiś straszny brak, jakąś próżnię w swoich myślach, chociaż ten brak tak sownie został mi w tej chwili wynagrodzony.

Tu skłonił się pannie Sydonii. Ukłon ten tak był zimny i konwencyonalny, uśmiech na twarzy Fredzia taki był ironiczny i żartobliwy, że komplementu tego nie można było wziąć na seryo. To też równie zimno i konwencyonalnie podniosła się Sydonia z fotelu i tak po mistrzowsku oddała mu ukłonem dobre za nadobne, że ciocia Euzebia od podziwienia nie mogła się wstrzymać. W ukłonie Sydonii było bardzo wiele uroku i najwyższej sztuki; chciała tym ukłonem rozwinąć całą potęgę wdzie-

ków swoich, postać cała chwyciła i przyciągała do siebie, a na ustach i w spojrzeniu była lodowata obojętność, zaprawiona szyderskim uśmiechem.

Po tym wzajemnym zmierzeniu się, odwrócili się oboje od siebie. Gotfred przystąpił do pani Alfonsowej i zaczął z nią rozmawiać o rzeczach obojętnych,

Tymczasem przyniesiono lampy i kandelabry. Pojawił się i pan Alfons, który gości serdecznie powitał. Ubolewał tylko że zamiast prawnika, nie przyjechał kto inny, bo dałby się skleić preferansik. A tak potrzeba było bawić się rozmową, i czego najbardziej nie lubił, potrzeba było słuchać gry na fortepianie lub śpiewu panny Sydonii. Na nieszczęście pana Alfonsa akademik także umiał trochę śpiewać, groził więc zebrany duet z „Zydówki“ lub „Proroka“.

Fredzio, jak go powszechnie nazywano, nie był to chłopczyk gołobrody, jakby go sobie po tym zdrobniałem imieniu wyobrazić można. Był to mężczyzna dojrzały, wahający się między trzydziestką a czterdziestką, na skroniach i czole nieco podlśywały, ale zresztą trzymający się jeszcze młodo i rzeżko. Twarz miał nijakiej cery, ale dosyć przyjemną, nacechowaną wykształceniem i pewną inteligencją. Włosy jego były koloru konopianego, harmoniowały jednak z twarzą wybornie. Nosił małe wąsiki i faworyty angielskie. W całym wzięciu się jego widać było człowieka światowego. Był bezżenny i miał dosyć znaczny majątek.

Pan Alfons, salwując się od duetu lub arii z „Trovatore“, rzekł do Fredzia:

— Możebyśmy zagrali pikietę. Strasznie długi wieczór. Do gadania materiału zbra-

Sydonia zaś zwróciła się do prawnika i rozpoczęła z nim rozmowę nadzwyczaj ożywioną. Ciocia Euzebia spostrzegła teraz, że stosunek ich do siebie zaczynał się zmieniać. Akademik stawał się coraz spokojniejszy, jakby się czuł zmęczonym, jakby

knie.

Hrabia Fredzio spojrział z uwagą na Sydonię, która właśnie rozprawiała o stałości i kaprysach serca. Rozmawiali z zajęciem i zdawało się że propozycyi pana Alfonsa nie słyszeli.

— Dlaczegoż mi na to nie odpowiadasz? zapytał Fredzio pan Alfons.

— Czekam zdania panny Sydonii, odparł Fredzio z lekką ironią.

— Pikieta grasz pan wybornie, odparła Sydonia, nie odwracając twarzy, a tak piękny talent, to przecież szkoda pod korzec chować.

— Jak pani doskonale umiesz dzielić swoją uwagę, wtrącił Fredzio.

— Zmusza nas do tego często niepewność sytuacji, odcięła z uśmiechem Sydonia.

— Brava! tak szczerze i otwarcie nie wyrzekło jeszcze żadne mocarstwo swego zdania.

— Nie zapominaj pan, że kobiety są także mocarstwem, i to pierwszego rzędu.

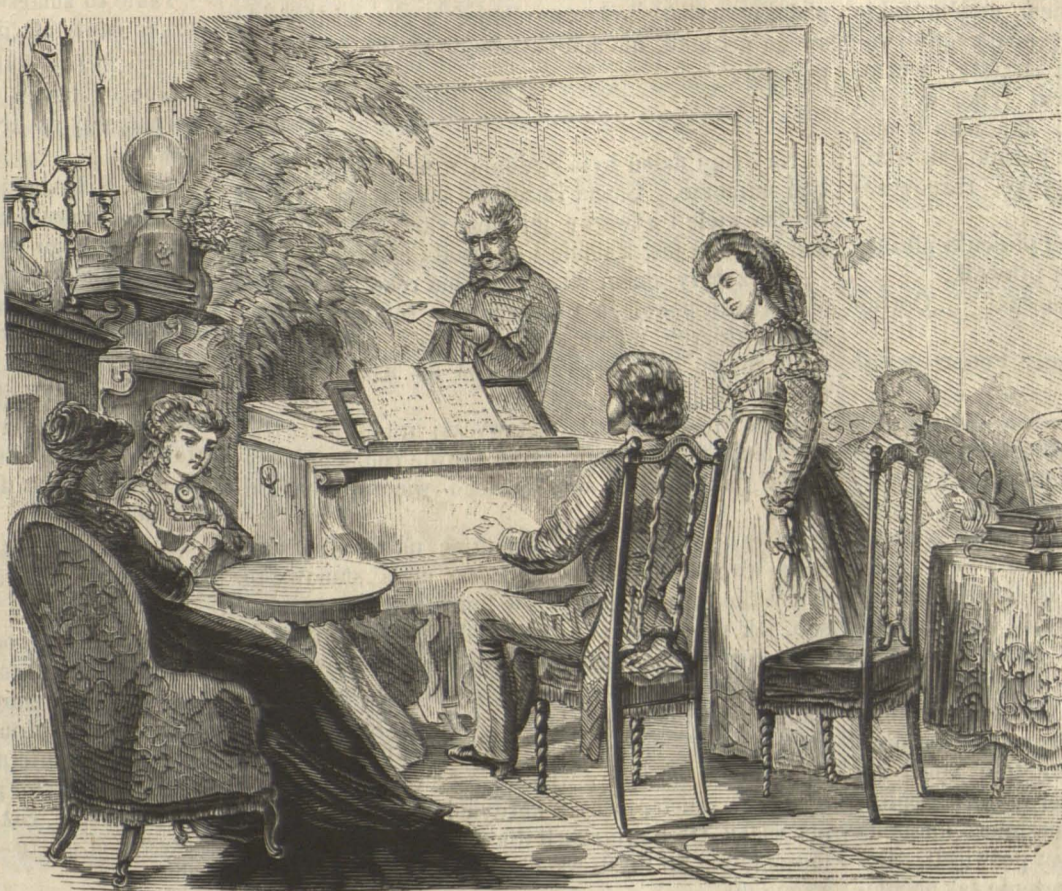
Mówiąc to, rozśmiała się cudownie i ukazała białe, drobniutkie ząbki. Uśmiech ten był tak rozkoszny i porywający, że pan Gotfred zapomniał na chwilę dalszej walki.

— Nie Alfonsie, grać w pikietę dzisiaj nie będę, rzekł po chwili milczenia.

— Ha, cóż robić, odparł smutno pan Alfons. To możeby pan Henryk co zaśpiewał.

Nastąpiły zwykle w takim razie protestacje z jednej, a nalegania i prośby z drugiej strony i skończyło się na tym, że akademik w końcu usiadł do fortepianu i zaczął jakąś przegrywkę.

Jedna ariya następowała po drugiej, bo słuchacze



Piosenka sprawiła w salonie mimowolną pauzę...



Robiono wycieczki sankami.

chciał po jakimś uniesieniu wypocząć. Sydonia przeciwnie ożywiła się i oczy jej przybierały więcej wyrazu.

Dziwną wydała się ciocie Euzebie ta kobieta. Wmieszawszy się do rozmowy z panią Alfonsową, śledziła pilnie rozmawiających z coraz większym zapalem, z coraz większym zajęciem.

zawsze prosili o inną, o więcęj. Pan Alfons słuchał z wielką rezygnacją, a nawet musiał wraz z innymi za śpiew akademikowi dziękować.

— A teraz odłóżmy na bok wszystkie opery i kantaty sławnych kompozytorów, ozwała się ciocia Euzebia, a niech pan co wybierze z naszego domowego repertoaru, jakąś piosnkę ulotną a rzewną, choćby nawet nieznaną poety. Zdaniem mojem, takie piosenki są najpiękniejsze. Znany poeta gdy tworzy, to tworzy z całym poczuciem artysty, a człowiek nieznan, któremu może raz tylko w życiu taka piosenka od serca się oderwie, daje nam w niej część swego życia. Dlatego też te piosenki tak silnie przemawiają do nas, tak się szybko rozpowszechniają.

— Więc chcesz pani jakiejś luźnej piosenki nieznanego autora? zapytał z uśmiechem prawnik.

— Tak coś nakształt „Gwiazdeczki“, „Czarne oczy“ lub „Czy mnie kochasz.“

Akademik zamyślił się chwilę. Potem wziął kilka smutnych akordów i zaczął:

Gdy spojrzę w twoje błękitne oczy,
Obaczę ust twych uśmiech uroczy,
Serce mi mówi, żeś mi wzajemną,—
A ty uciekasz wtedy przedemną...

Piosenka sprawiła w salonie jakąś dziwną, mimowolną pauzę. Pani Alfonsowa bawiła się robótką szydełkową, pan Alfons obracał palec koło palca i patrzył zamyślony przed siebie, chociaż o niczem nie myślał. Ciocia Euzebia zato rzeczywiście nad czémś myślała, co dziwny uśmiech wywoływało na jej twarz bladą. Pan Gotfred obojętnie oparł się o fortepian i przypatrywał się wizerunkowi Pepity, której jakiś kompozytor swoje nieśmiertelne opus Nr. 97, pod tytułem „Pepita-Polka“ poświęcił. Słowem, piosenka akademika zrobiła wrażenie tak pochlebne dla śpiewaka, że publiczność zapomniała nawet mu podziękować.

Jedna tylko Sydonia pamiętała o tém. Na podziękę usiadła sama do fortepianu i niby w odpowiedzi zaśpiewała znaną piosenkę: „Gdybym ja była gwiazdą na niebie.“

— No proszę, ozwał się po chwili hrabia Gotfred, dzisiaj jużby nam nikt nie zarzucił, że swoich rzeczy się wstydzimy. Słuchamy radzi swęj poezji i domowych pieśni i do tego unosimy się jeszcze nad niemi. Zaiste, postęp niesłychany. A wszystkimu temu winne niebieskie oczy.

— Przynajmniej pan w tych naszych zasługach żadnego nie masz udziału, odparła Sydonia, jesteś tylko neutralnym słuchaczem.

— Muszę być z tego stanowiska zadowolony, jeśli sam je sobie obrałem.

— *Volenti non fit injuria!*... Czy tak panie Henryku? zapytała z uśmiechem czarującym Sydonia.

— Pani studujesz rzymskie prawo? z przekąsem rzekł hrabia Gotfred.

Słów tych jednak nie słyszało całe towarzystwo, bo prawnik właśnie rozpoczął z Sydzą jakąś symfonią na cztery ręce. Struny brzęczały i pękały pod tą zdwojoną baterią, a pan Alfons wziął się za głowę i umknął do drugiego pokoju. Tymczasem wszedł lokaj i zaprosił na herbatę.

Pani Alfonsowa pobiegła naprzód, aby wydać jeszcze jakąś dyspozycją, a prawnik podał ramię Sydonii. Ciocia Euzebia szukała tymczasem w kącie salonu chusteczki. Nie spostrzegł jej pan Alfons, a myśląc że jest sam na sam w salonie z Fredziem, wziął go za rękę i rzekł do niego półgłosem:

— A cóż dzisiaj Sydzia? Wygląda prześlicznie! W całym jej wzięciu się widać księżniczkę.

— Ma w sobie wiele pociągającego, ale ma także w sobie coś, co odtrąca, odparł Fredzio.

— Biędny prawnik, naprawdę się zakochał. Zaczynam być o to niespokojny.

— Śpij spokojnie Alfonsie, odparł z ironicznym uśmiechem hrabia Gotfred. Prawnika, czy tam akademika, nie jest wcale niebezpiecznym. Gdyby miał tak kilka wiosek podolskich, to i ja...

— To i ty nie spałbyś dzisiaj spokojnie. Nieprawdaż?

— Nie, tego nie chciałem powiedzieć, tylko to, że wtedy i ja uważałbym go za niebezpiecznego dla Sydonii.

— Ej, przyznaj się Fredziu! Wszak jesteśmy sami swoi.

— *Parole d'honneur!* odparł spokojnie Fredzio i wyjął grzebyk, aby sobie faworyty rozczesać.

— A więc proszę cię na herbatę, rzekł pan Alfons i podał ramię kuzynowi.

Usłyszawszy tę rozmowę, ciocia Euzebia długo podczas herbaty była zamyślona, a przyszedłszy do swego pokoiku, nie mogła zasnąć aż do trzeciej po północy.

Na drugi dzień była Sydonia w nadzwyczaj wesołym humorze. Ciocia Euzebia śmiała się również bardzo wiele i z twarzy jej niezwykle ożywionej widać było, że jest z siebie i ze świata zadowolona.

Przez cały dzień chodziły obie ręka w rękę po obszernych pokojach i opowiadały sobie różne rzeczy, z których potem chichotały się wesoło. Czasami znowu szeptały sobie coś do uszu i znowu śmiały się jakby na wyścigi.

Pani Alfonsowa była nadzwyczaj uradowana z tego ożywienia domu, który teraz prawie codziennie wyglądał, jakby się w nim każdego wieczora bal odbywał.

W całej Europie, nie wyjmując nawet Hiszpanii, nasze dwory wiejskie wyjątkowo mają stanowisko. Wszystko tam dzieje się w miniaturze w ten sposób, jak się dzieje po wielkich dworach panujących. Taką cechą miał także dom państwa Alfonsów.

Życie beczynne, zabawa po zabawie, przemysłowanie w jakiby sposób jeszcze tego życia użyć, jaką wystawnością możnaby sąsiadom zaimponować, słowem w jaki sposób z większą ostentacją wiele pieniędzy wyrzucić, to były kardynalne punkta wyznania wiary. O obowiązkach dla społeczeństwa, o przyłączeniu się do myśli wspólnych, nie było tam ani wzmianki.

To też mile, swobodnie i rozkosznie upływał czas w domu państwa Alfonsów. Cały dzień podzielony był na pewne stałe epoki. Herbata o godzinie jedenastej, śniadanko *à la fourchette* między pierwszą a drugą, obiad o piątą, i znowu herbata o jedenaście. To błędne kółko toczyło się z dnia na dzień, od tygodnia do tygodnia, od roku do roku. O wyznaczonych godzinach schodzili się lokaje, w milczeniu jak duchy nakrywali stoły i otwierali różne szafki; potem zbierali, chowali, aby za dwie lub trzy godziny znowu nakryć i sprzątnąć.

Proza żywota nie dotykała w niczem mieszkańców dworu. Wszystkie potrawy, napoje, bakalie wychodziły do nich gdzieś z pod ziemi, jak się to dzieje na balecie. Można więc było całemi siłami oddać się wyższemu rozkoszom życia, ubarwionym pojętym świeżo zawsze wyobraźnią i ustawicznie podsyćnianym zapalem serca.

Tworzono najpyszniejsze dowcipy, układano genialne planiki co do drobnych intryzek serdecznych, bawiono się całą pełnią życia wygodnego, któremu nie nie ujmowała ani troska, ani walka o jutro.

W takim to życiu wzrosła i wychowała się Sydonia. Porwała z sobą w ten wir kolorów tęczy i ciocię Euzebię, która się temu na pozór bynajmniej nie opierała. Robiono wycieczki konno i na sankach w towarzystwie i bez towarzystwa, grano, śpiewano, a nawet tańczono.

Tak upłynął cały tydzień. Po tygodniu otrzymała ciocia Euzebia list z czarną pieczętką, za który skwapliwie chwyciła. Nie czytała go w salonie, gdzie była pani Alfonsowa i Sydonia, ale pobiegła z nim do swego pokoiku i tam się na klucz zamknęła. Ręce jej zadrżały nieco, gdy pieczętkę odrywała, oczy błysnęły żywiej.

W liście nie było nic nadzwyczajnego. Pisała go starsza panna służąca na rozkaz babci, która z powodu starości już pisać nie mogła. Odrzuciwszy błędy ortograficzne i złączywszy bezładnie porozrzucone zdania w jakiś sens zrozumiały, był ten list, mniej więcęj, następującej treści:

...Niech ciocia Euzebia przyjeżdża jaknajprędzej. Od tygodnia nie było w domu porządnego obiadu. Kucharz Wojciech upija się dwa razy na dzień. Wczoraj do zrazów wysiekał ogrodnikowi wszystkie cebulki hiacyntowe, które w suchym miejscu na drugi rok przechowywał. Biskopciki do herbaty upiekł z takim zakalcem, że nawet pieski jeść ich

nie chciały. Przed dwoma dniami z robił do białej sztuki mięsa sos pietruszkowy, chociaż sto razy mu mówiono, że p. Npecio takiego sosu nie lubi. Do tego, dając pieczyste z indyka, posiekał całą puszkę truflii. Czy widział kto kiedy takie barbarzyństwo, aby truflie siekać?...

Takie to zmartwienia zmusiły babunię, że wydała rozkaz napisania listu do cioci Euzebii i proszenia jej usilnie, aby jaknajprędzej do domu wracała.

Ciocia Euzebia już chciała ze złości list ten poszarpać, gdy na drugiej stronie zobaczyła post scriptum.

...P. S. Dodać jeszcze do tego trzeba, że pan Npecio jest strasznie zły, że ciocia Euzebia nie przyjeżdża. Ignacego wybił wczoraj, aż się upić musiał ze zmartwienia, a Neptusia kopnął nogą. Obawiać się należy, że lada godzina gdzieś wyjedzie, bo konie już od dwóch dni są w stajni poubierane.

Ciocia Euzebia przeczytała to dziwne *post scriptum* kilka razy. Uśmiech jakiś zagadkowy igrał po jej twarzy. Położyła list na kolanach, podparła ręką głowę i zamyśliła się. Wreszcie powstała szybko, schowała list do podróźnej torebki i wybiegła do salonu.

— Cóż ci tam ten liścik przyniósł tak ciekawego, że nas opuściłaś? zapytała Sydonia.

— Ach ten list naprawdę stanie się powodem, że was opuszczę, odpowiedziała ciocia Euzebia z westchnieniem, rzucając się na fotel.

— Cóż tam znowu nowego? zapytały naraz pani Alfonsowa i Sydonia.

— Babcia nie może sobie dać rady, a Npecio...

— Cóż Npecio? podjęła ciekawie Sydonia.

— Npecio... cóż ci będę naprzód o nim mówiła?... Przyszlę ci go tu—rzekła z uśmiechem ciocia Euzebia.

— *Parole d'honneur!*

— *Parole d'honneur!* z dziwnym akcentem, odpowiedziała ciocia, podając Sydonii rękę.

Za dwie godziny siedziała Sydonia zamyślona na szeszlunku, w swoim pokoju. Cioci Euzebii już we dworze nie było.

W sam czas przybyła ciocia Euzebia do domu, wszystko tam bowiem chyliło się ku wielkiemu przesileniu. Przyjazne stosunki między mieszkańcami były pozrywane, a inne strasznie napięte. Lada chwila groziła otwarta wojna i powszechna zamieszanie. A nikt nie umiał grożącej burzy zażegnać.

Najprzód między Janem lokajem a starszą panną służącą wybuchła otwarta wojna, czego widoczne ślady nosiły obie strony. Kucharz Wojciech odmówił całej garderobie węgli do rozgrzania żelazek, i nawet kilka razy pięścią pogroził w kierunku gdzie była izdebka starszej panny służącej. Żyd pachciarz zaparł dziesięć garncy mleka gospodyni pannie Maryannie, co dało powód do haniebnej między niemi kontrowersyi. Oboje czekali na przyjazd cioci Euzebii, z dowodami w kieszeni.

Od ludzi, przeszedł ten rozstrój powszechny i do zwierząt. Ugodzony w białą łatkę Neptus, nie dał się Npeciovi w żaden sposób przeprosić. Ztąd wyrosły nowe nieporozumienia, które, rozumie się, w wysokim stopniu drażniły babcię, a babcia znowu drażniła innych, i tak od szczebla do szczebla, cały dom był w wojnie otwartej.

W dodatku do tego wszystkiego, stanął jednego pięknego poranka Npecio w śmiałej postawie przed babunią i powiedział jej stanowczo, że jako syn wdzięczny i posłuszny, nie może dłużej zwlekać wypełnienia ostatniej woli nieboszczyka papci, który wyraźnie mu nakazał, abysię ożenił dobrze i rychło. Cóżby to ludzie, cóżby świat cały powiedział na to, że on ostatnią wolę ojca tak lekceważy, że ostatnie jego słowa depce nogami?... Wszak najuboższy człowiek ma cześć dla woli tych, co umierają; dla czegoż on jeden ma być zgorszeniem w całym powiecie i jeszcze w obec Boga popełniać grzech śmiertelny przeciw czwartemu przykazaniu, które wyraźnie powiada, aby cześć ojca i matkę, jeśli kto chce długo żyć na ziemi?

W ten sposób argumentował Npecio swój wyjazd

przed babcią, a babcia uznała w końcu, że ma słuszość. Tyle tylko na nim wymogła, że obiecał jeszcze dwa dni wstrzymać się z wyjazdem i na ciotkę Euzebię zaczekać.

Tak stały rzeczy, gdy panna Euzebia przed ganek dworu zajechała. Powóz został natychmiast ze wszystkich stron otoczony, każdy bowiem chciał uprzędić skargę drugiego.

Pod wieczór jednak było już wszystko w dawnym porządku. Jan lokaj chodził zwykłym swoim krokiem powolnym po dywanach; Jasiek pokojowiec zmiatał kurz z mebli zgrabnym, różnokolorowym pióropuszem, a starsza panna służąca opowiadała w garderobie swój tryumf nad Janem i Wojciechem. Wojciech nawet wytrzeźwiał i stał prosto przed kuchnią.

Z jednym tylko Nepciem nie było jeszcze zgody. Ciocia Euzebia odłożyła tę zgodę do herbaty.

Kiedy już wszystko do wieczery było gotowe, wysłała Jana do kuchni, aby na bifszyk czekał, a korzystając z nieobecności babci, która zwykle później przychodziła, rzekła do Nepcia:

— I cóż, kochany Nepciu, czy widać było że mnie w domu niema?

— A jakżeby widać nie było? Wszak ja mało tu głowy nie straciłem.

— Więc, jak widzę, przydam się tu na coś.

— Na to, aby być panią w domu, rozkazywać, rządzić, godzić, doglądać.

— Nazwałś mnie „panią domu...“ Czy wiesz, kochany Nepciu, co to znaczy?

— Tak, panią domu, jak mówiłem, ciągnął dalej w ferworze Nepcio, panią w całym znaczeniu tego wyrazu. Może cio... kuzynka wynagradzać lub karać, jak i kogo zechce.

— Więc ty tylko znasz fortepian z brząkania stroiciela, a nie z melodyi, którą nastrojony z siebie wydaje?

— O tak i z melodyi znam. Ale i to strojenie pojedynczych klawiszów także mi się podoba.

— Nie widzisz, nie słyszysz tej harmonii, która w całym domu panuje, a którą ja stworzyłam?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kilka uwag o wpływie ojców rodzin na wychowanie dzieci.

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam w *Kronice rodzinnej* Nr. 12 kilka pięknych myśli, przesłanych z prowincji szanownej redaktorce tego pisma, o wpływie ojców rodzin na wychowanie dzieci. Spotkałam się tu z nieznanym mi korespondentem w jednakowym zapatrywaniu się na kwestyą, której rok temu dotknęłam w moich *Myślach o wychowaniu kobiety*.

Zanim drobna ta praca ukaże się na widok publiczny, rzucam tu kilka uwag o wpływie ojców na wychowanie tak synów jak córek, o konieczności ich udziału w kierowaniu dziećmi, które Opatrzność powierzyła zarówno pieczy matki, jak ojca.

Kto wie czy nie usunięciu się silniejszego ramienia przypisać należy tę niedokładność, ten brak harmonii w wychowaniu dziewcząt, tę niewytrwałość w dalszym kształceniu się kobiety, to zbyt częste roztkliwienie uczuć, ten upadek, tę niemoc ducha w przygodach życia, jakich przykłady widzimy teraz codziennie.

Najwyżej nawet ukształcona kobieta, nie może znać wszystkich stron życia. Subtelne jej oko uchwyci wprawdzie szczegóły, a mianowicie takie, co wpływają na jej wyobraźnię, na uczucie, pojmie życie z jego najestetyczniejszej, najserdeczniejszej strony; ale niezawsze ogarnie całość, niezawsze dopatrzy z której strony niebezpieczeństwa i przepaści, której łatwiej wznieść się zdoła do rzeczywistego celu życia. Najmniej znów ukształcony ojciec rodziny, ale ze zdrowym pojęciem o życiu, z doświadczeniem nabytym w ciągłej styczności z ludźmi, w ścięciu się ze złem, a przytęm z serdeczną miłością dla drogiego mu istot, ręka w rękę z dozągoną towarzyszką, przygotowuje zawiązek do życia, wskazuje im jak naukę uczynić pokarmem życiodawczym, aby nim posilony duch młody, mógł zapanować nad przeszłymi troskami i przeciwnościami.

A cóż dopiero zdziałać może ojciec pełen siły ducha!...

Wprawdzie ojciec taki należy nietylko do własnej rodziny, ale i do całej rodziny społecznej, bo skarby jego ducha są własnością ogółu; lecz dając wiele światu, rozpryskując się, że tak powiem, po za ognisko domowe, nie traci z oczu rodziny swojej, która daje mu znów to, co go podnosi nad poziom i wielkim czyni dla ludzkości. Bo ojciec, mędrzec tylko dla świata, ale z sercem obojętnym dla rodziny, nie oświecający światłem swego rozumu wnętrza domku własnego, to gwiazda obumarła, co wprawdzie świeci jeszcze zdala, ale nie grzeje.

Ojciec z sercem gorąco bijącym dla rodziny, pogodzie będzie umiał święte obowiązki względem dzieci, z rozległymi powinnościami, należącymi się społeczeństwu którego jest członkiem.

Pozostawiając towarzysze życia wyłączny kierunek pierwszych kroków dzieci, nie usuwając z pod jej opieki i w dalszych latach dorastających córek, nie odmówi im jednakże swojego silnego ramienia, swojego światła i doświadczenia. Ale synów od siódmego roku ich życia pod wyłączną weźmie opiekę, oddając im to, w co serce jego i umysł zamozny.

Podstawą społeczeństwa jest wychowanie: im ono lepsze, im doskonalsze, harmonijniejsze wszystkim odpowiada warunkom, tym zamożniejszemu, wspanialszemu rozporządzać może środkami, tym więcej skupi w sobie siły i wielkości.

W ręku ojców spoczywa możność zapewnienia szczęścia społeczeństwu; oni to, pracując dla spełnienia najgorętszych pragnień serca, pracują korzystnie dla ogółu, i żaden z nich uchylić się od tego współudziału w pracy nie może, nie powinien.

Nie wymówią go od tego ani liczne i ważne zatrudnienia, ani praca dla zapewnienia materialnego bytu rodzinie, bo tu idzie o byt daleko wyższy, o byt duchowy, nietylko pojedynczej istoty, ale ogółu społeczeństwa, z którym przysposobione do życia jednostki, z nagromadzoną skarbnicą swego ducha, zleją się kiedyś w wielką, wspaniałą jedność. Praca więc ojców jest nietylko wielką doniosłością, ale i odpowiedzialnością przed surowym trybunałem przyszłości; dlatego też najmędrzej nawet matce ojciec wyłącznie wychowania syna powierzyć nie może wtedy, gdy potrzebować będzie już nietylko serca rodzicielki, ale silnej ręki, pewnego, jednostajnego i wolnego od wszelkich słabostek kierunku ojca.

Matka sama wychowująca synów, uczyni ich wprawdzie ludźmi serca, pełnymi załości, ale nie rozbudzi duchowej siły, samodzielności, nie uczyni ich mężami czynu, co to raczej runą sami jak Samson pod upadającymi gruzami, niż usuną ramiona tam, gdzie jako silne podpory niewzruszenie stać mają na wyznaczonym w społeczeństwie stanowisku.

Ale czy wszystkich ojców serca ożywiają te uczucia?..

Nie śmiem wyrzec smutnego wyrazu... narażę się... obrażę, lecz prawda święta jest podstawą dobra wszelkiego, a więc dla jej miłości, śmiało i głośno powiadam: nie! Niewszyscy chętnie, z gorącą miłością garną się do świętego dzieła, niewszyscy wykonywają i rozumieją ważne obowiązki przewodników rodzin. Iluż to z nich nie może znaleźć czasu, by się poświęcić wychowaniu synów, zapewnić im szczęście całego życia, przyczynić się do dobra ogółu, a niestety! mają dosyć czasu by zasiąść przy zielonym stoliku i tracić przy nim drogie chwile, lub je obrócić na samolubne, niegodne zacnych ludzi przyjemności.

Tym to ojcom można przypomnieć, co winni są dzieckom i społeczeństwu, tym bardziej, że nie tak wiele znów czasu poświęcić potrzebują wychowaniu synów,—trzy, cztery lata najwięcej. Do siedmiu lat zostają synowie pod wyłączną opieką matki, a od dziesiątego, najwyżej dwunastego roku, zabiera ich szkoła, praca samodzielna... świat.

Przez te więc lat kilka, to jest od roku siódmego do dziesiątego lub dwunastego, ojciec, przy współudziale matki, ma wpoić w serce syna zasady religii, głęboką wiarę w miłość, dobroć, mądrość i sprawiedliwość Bożą, w nieśmiertelność duszy. Aby zaś te prawdy religijne stanąć mogły na niezachwianej podstawie i spoiły się niejako z życiem dziecka,

przemówi do niego o Stwórcy z miłością, z przekonaniem, z głęboką wiarą, by później w zetknięciu się ze światem, cierpienia i bolesne próby nie zachwiały jego świętych przekonań, jego wiary dziecięcej. Z tą samą miłością ojciec złoży w duszy syna nasiona cnót, które darzą życiem prawdziwym, zaszczerpi własnym przykładem w młodocianym sercu zacność i rzetelność, pokrzepi na koniec ducha młodego prawdą, da mu jasne pojęcie o życiu, gruntując w nim wszystko, co stanowi rzetelną wartość człowieka, co życie czyni użytecznym i pełnym zasługi. Jednym słowem, ojciec wychowa syna na zanego członka społeczeństwa, na godnego ojca rodziny, pełnego piękności ducha czystego sercem, z gorącą miłością dla wszystkiego co piękne, święte, tchnące prawdą, a więc życiem. Włączamy tu naukę historii, ludzkości i przyrody, oraz inne niezbędne dla chłopca wiadomości, uzupełniające zakres jego pierwotnego wychowania.

Jeżeli ojciec sam umysłu syna oświecić nie potrafi, wtedy mu obierze nauczyciela niezachwianych zasad religijnych, nieposzlakowanej moralności, gruntownej nauki; ale sam czuwać będzie nad sercem syna, sam pokieruje jego krokami, by kiedyś godnie mógł stanąć w rzędzie chętnych a umiejętnych pracowników dla dobra ogółu.

Tak więc chłopczyk, ukochawszy pod rodzicielską strzechą cnotę, naukę i pracę, pójdzie już później sam po wskazanej drodze i nie tak łatwo w dobrą się zachwieje, gdy po skończeniu lat 10 lub 12 opuści dom rodziców.

Wprawdzie zamożni rodzice nigdy nie tracą synów z oczu, mogą czuwać nad nimi i wtedy, gdy w wyższych zakładach naukowych uzupełniają wiadomości w domu nabyte. Ale na to zdobyć się tylko może mniejszość. Niezamożni, oddając synów do szkół, jeżeli sami mieszkają na wsi, umieszczają ich zwykle na tak zwanych *stancyach*, utrzymywanych przez osoby bez najmniejszego ukształcenia pedagogicznego, dla których utrzymywanie uczniów jest prostą spekulacją, zapewnieniem dosyć nędznego w ogóle bytu. Na tychto stancyach, korepetytor siedemnasto lub osiemnastoletni, bez doświadczenia, częstokroć równie powierzonych sobie uczniów, czuwa nad dwudziestoma czasem chłopcami, a bywają stancye i daleko liczniejsze.

Nagromadzenie w jednym miejscu tylu chłopców różnorodnych usposobień, a tym samym wad, ułomności, przywar, nie może wydać dobrych owoców, nie może wpłynąć dobroczynnie na rozwijające się charaktery, które wprawdzie wyrabiają się tu swobodnie, samodzielnie, ale też i niejedno dobre ziarno, nie zasilane zdrową radą, nie pielęgnowane tkliwą opieką, usycha.

Po skończeniu szkół, chłopcy przechodzą do wyższych zakładów naukowych. Jeżeli pierwotne, domowe wychowanie nie przygotowało ich dostatecznie do życia, łatwo w pierwszym zaraz starciu, nieprzygotowani do oporu i walki, tracą to nawet, co w chłopięcych latach prawie cudem ocalało na dnie serca. Z takich młodzieńców wyrobią się ateusze, witający życie z gorzkim uśmiechem ironii, wczesnego przesytu i rozczarowania, słowem, dwudziestoletni starcy.

Wprawdzie i w takich niekorzystnych warunkach wyrabiają się nierazkroć charaktery dzielne, a tym pełniejsze zasługi, że zdołały przejść czyste, nieskażone wśród zamętów życia; lecz ileż się też w tej walce pełnych nadziei sił młodzieńczych złamie!

Zapobieży temu, jakeśmy wyżej powiedzieli, wychowanie pokierowane od kolébki przez matkę, a następnie prowadzone silną dłonią ojca, pełnego światła, a przynajmniej doświadczenia i miłości dla dzieci. Wtedy złe największe nie znajdzie do nich przystępu; dobre zasady, wszczepione w serce z młodu, zapuszczają głębokie korzenie, a żadna siła niszcząca nie zmrozi ich, nie odbierze im blasku i piękności. Oprą się one burzom i błogosławiony owoc wydadzą, dla szczęścia rodzin i dobra ogólnego.

Józefa Żliarska.

GARKUCHNIE

tanie czyli ludowe.

(Dokończenie.)

Robi to się tak. Kilkanaście, kilkadziesiąt, lub choćby i kilkaset osób składa pewien fundusz potrzebny na założenie garkuchni ludowej. Dla garkuchni tej przyjmują kucharza lub kucharkę i posługaczy, i ci gotują potrawy i obsługują zakład. Nadzór i zarząd ogólny należy do założycieli, którzy wybierają z pomiędzy siebie jednego do zakupu żywności i kilku lub kilkunastu do kolejnego czuwania nad wnętrzem zakładu, nad usługą, nad dobrocią potraw i t. d. Zwykle te ostatnie obowiązki pełnią dobroczynne panie. Nadzór przytęm ustanawia ceny po których można kupować pokarm w jadalni. Pokarm ten, jak wyżej powiedziałem, jest tańszy od sprzedawanego w garkuchniach prywatnych. Dlaczego? Dlatego, że garkuchnia prywatna mu-

RYŚUNKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.



Kasa teatralna w dzień wystąpienia pani Modrzejewskiej.

Owóz takich to tanich garkuchni brakuje naszemu grodowi. Nie mogę przypuścić, iżby czytelnicy nie zrozumieli korzyści takich zakładów, i trudno mi pozbyć się tej nadziei, że pomiędzy nami znajdzie się choć dziesiąty, co zapragnie izby one i do nas zawitały. Dla tych więc chętnych podaję tu sposób przemienienia chęci w użytek.

Zastanówmy się ile może kosztować założenie takiej jednej garkuchni.

Lokal, złożony z dużej izby i z dużej kuchni, kwartalnie rs. 40; — opłata 3 służących, licząc po 9 rs. kwartalnie dla każdej, uczyni razem rs. 27; — sprawienie stołów i ław prostych rs. 30; — kupno kociołków, garnków, mis, talerzy, noży i t. d. rs. 120; — kupno na początek drzewa, węgla i nafty rs. 26; — kupno na początek mięsa (100 funtów) kartofli (5 korcy), kaszy, grochu, kapusty, okras, rs. 60. — Razem rs. 303.

Na początek zatem 300 rs. dosyć.

Ponieważ zaś sprzedaje się tylko za gotówkę, przeto codziennie napływają pieniądze na następne wydatki.

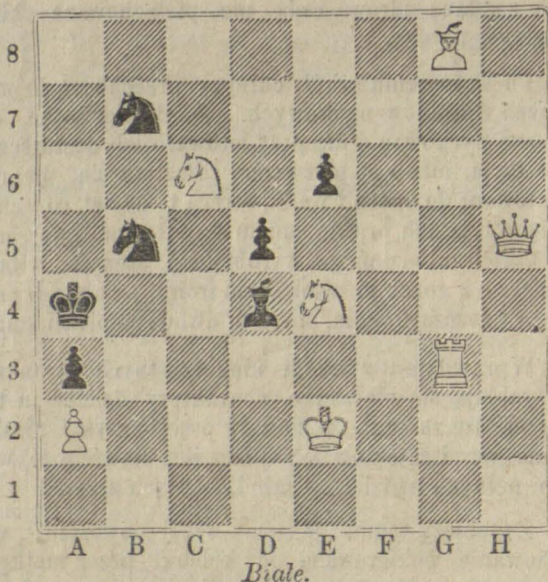
Zebrań 500 rubli dla chcących nie jest trudnym. Mniej więcej tak się to robi. Kilka lub kilkanaście osób bliźnim sprzyjających, postanawia zająć się założeniem garkuchni i rozumie się przedewszystkiem

(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXXVI.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem. Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 35.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------------------|------------------|
| 1) F4—E5 | 1) D6—E5 biorą. |
| 2) A1—H1† | 2) E4—D4 |
| 3) H1—G1† | 3) D4—C3 lub E4. |
| 4) G1—A1 lub E3† i mat. | |
| | 1) C7—B6. |
| 2) A1—A8 | 2) E4—E5 biorą. |
| 3) A8—D5† | 3) E5—F6 lub F4. |
| 4) D5—F5† i mat. | |

si nie tylko zapłacić podatki, służbę, zakup żywności, ale nadto utrzymać samego przedsiębiorcę, jego żonę i dzieci, ubrać wszystkich i wychować ostatnie, a przytęm musi dostarczyć jeszcze funduszu na dorobek przedsiębiorcy: czyli że prywatny przedsiębiorca zakład swój uważa za środek do utrzymania siebie i zrobienia majątku, dobroczynne zaś osoby zakładające garkuchnie mają prawie zawsze tylko dwa cele, t. j. utrzymać zakład tak aby bez dalszych zapomóg szedł już o swęj sile, i powoli, amortyzacyjnie, wycofać złożony fundusz zakładowy bądź wprost dla siebie, bądź tęz, jak się dzieje najczęściej, aby wycofywany fundusz obracać na zakładanie innych garkuchni. Rozumie się że takie garkuchnie, nie zniewolone pracować na utrzymanie przedsiębiorcy i jego rodziny, ani na zbieranie dla nich majątku, mogą o tyle sprzedawać taniej, o ile mniej dochodu wymagają. A taniósć ta jest bardzo znaczna. Weźmy za przykład Bruksellę. W tamtejszój taniój kuchni jedzenie złożone z kawała chleba, półkwarty piwa, zupy, mięsa, jarzyny i ze szklanki kawy, kosztuje razem złp. 1 gr. 5. U nas jedzenie to kosztuje groszy 45, licząc (a liczymy tanio) złoty za zupę, mięso i jarzynę, 5 groszy za półkwarty piwa i 10 groszy za kawę. Płacąc więc tak jak w Brukselli, stołujący się miałby żywność o 10 groszy taniój dziennie, co uczyni rocznie rs. 18. Jeżeli jednak zauważymy, że chleb i mięso są o wiele droższe w Belgii niżli u nas, wypadnie cenę takiego jedzenia obniżyć średnio do 28 groszy. Oszczędnósć taka 17 groszy na osobę dziennie, znaczy bardzo wiele dla naszej klasy robotniczój. Przytęm zwracamy uwagę, że nie tylko chleb i mięso, ale i usługa, lokal i drzewo są także tańsze u nas, lubo niezbyt wiele, tyle jednak, że i to uczyni z jakie 3 grosze oszczędności na każdym daniu; czyli że, opuściwszy piwo i śniadanie, obiad bardzo sytny i dostateczny, kosztować będzie mniej więcej od 15 do 18 groszy.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 44.

Amazys poprzedza Psamenita w szeregu królów Egiptu.

(Dodatek.)

zgrupowaniem potrzebnych funduszy. Owóż tworzą one akcje dla większej przystępności trzyrublowe, i akcje, te sprzedają między swymi znajomymi. A przecież Warszawa, bez zniecierpliwienia się odpłacająca rokrocznie tyle koncertów i widowisk, zdobyć się może na rozkupienie 100 akcji trzyrublowych, zwłaszcza że ma ona w swych murach ludzi, którzy nie polenią się kupić więcej niż jedną akcją. Po zebraniu pieniędzy i uzyskaniu konsensu, otworzy się garkuchnia nazwana *tanią*, pod firmą jednego z założycieli i odda się pod nadzór osoby mającej swobodny czas po temu i pod opiekę czynną kilkunastu pań, które zapewne nie odmówią swjej pomocy w sprawie gdzie idzie o zmniejszenie nędzy. Można by nawet, dla skuteczniejszej kontroli i zarządu, oddać zakład taki, ale już urządzony, pod kierunek warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Podług mnie zatem garkuchnie ludowe są dla nas i korzystne i łatwe do urządzenia. Rzecz tylko w tym, czy Warszawa znajdzie dość energii do zamienienia w czyn słów zachęty. Rzecz w tym, czy dziennikarstwo podnieść zechce nanowo kwestyą, która przy dobrej chęci, zajęciu i poparciu nie jednorazowym i konwencyonalnym, ale częstym i serdecznym, mogłaby zostać urzeczywistnioną, niosąc pożytek biedniejszej braci naszego miasta. Bo, powtarzam to raz jeszcze na zakończenie, więcej znaczy dopomóż ciężko pracującemu aby nie popadł w nędzę, niż obdarzyć groszem łachmaniarza, lub rozplywać się we łzach i tyradach nad niedolą rodu ludzkiego.

Aleksander Makowiecki.

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dokończenie.)

XXI.

Wywiedziawszy się o dniu ślubu Tomasza, namówiła Róża matkę, i wieczorem, owinięte w futra i kaputki, przemknęły się do świętokrzyskiego kościoła. Karęt na ulicy było mnóstwo, kościół wspaniale oświetlony. Ukryta za potężnym filarem, Róża z ciekawością przypatrywała się obrzędowo nastrojonym minom, oceniała stroje, ruchy, gusta i szczerze wesołe uwagi szeptała do ucha matce, ciągle jeszcze uważającej akt ten za stratę osobistą. Róża przeciwnie patrzyła jak na zajmujące widowisko, ważne o tyle, o ile ostatecznie i stanowczo zrywa nici, wiążące ją z dawnym kochankiem.

Ale należy objaśnić pobieżnie, w jaki sposób Tomasz doszedł w tak krótkim czasie do niesłychanego szczęścia zostania małżonkiem prezesówny-artystki. Szanowny ten chłopiec, jakkolwiek leniwy i nie lubiący książek, okazał w wysokim stopniu praktyczne przymioty. Sposztrzegłszy że Róża stanowczo go nie chce, zamiarkował korzyści swego położenia i postanowił skorym ożenkiem przeciąć niewygodny stosunek i odemścić się za koszt otrzymany. Zrobiwszy w resursie znajomość z prezesówną, znalazł łatwy wstęp do domu jej ojca, jako młody, *wiele obiecujący* człowiek, mający wprawdzie skromny urząd, ale zdolność i niezłą fortunę. Wprawdzie posag prezesówny-artystki był o wiele większy, ale na chłopców już i wtedy były ciężkie czasy, prezesówna miała już coś około trzydziestu lat i od pewnego czasu z przerażeniem spostrzegła opustoszałe szeregi licznych niegdyś swoich wielbicieli. Stosunek ten prędko doprowadził do układów matrymonialnych, a całą rzecz zachowano w wielkiej tajemnicy, aż prawie jednocześnie Tomasz uzyskał awans i żonę.

Był u szczytu szczęścia: wszystkie jego marzenia się spełniły. Wygrał na loteryi, wziął żonę z posagiem, otrzymał wyższy urząd i spodziewał się wkrótce nowych godności. Co serce i rozum zyskiwały przy tej niezapracowanej karierze, o to się nie pytał; ani mu się śniły podobne rzeczy, bo serce było zimne, a głowa pusta. Wkrótce jednak uczuł, że obok owych wielkich, niezapręczonych korzyści, były też i małe przykrości, małe, ale liczne. Obrabując się, przyznał sobie tajemnie pan Tomasz, że ze wszystkich jakie zdobył skarbów, najmniej wartości ma żona. Najprzód, zaczynając od fizycznych

względów, nie była ani młoda, ani piękna. Zęby miała niezmiernie duże, co ją zmuszało w mówieniu do ustawicznego ściągania ust i nienaturalnego wymawiania wyrazów; bujny warkocz przyprawny, nie w każdej chwili osłaniał tu i owdzie przeświecającą łysinę; kształty zachowywały pełność tylko przy pomocy bardzo zręcznych pokojówek, a chorobliwa drażliwość nerwów zmuszała męża i domowników do ciągłego chodzenia na palcach.

Ale Tomasz nie był tak grubym materialistą, iżby na drobne ułomności ciała zwracał uwagę; jemu szło głównie o przymioty duszy i dla nich to tak gorąco pokochał prezesównę. Tu jednak zachodziła fatalna niedogodność, że owe przymioty obracały się na szkodę małżonka. Prezesówna, jako artystka, była niezmiernie uczuciową, sercową, duchową; jako dama wielkiego tonu, nadzwyczaj delikatną, uważną, dającą ton wszystkiemu co ją otaczało; jako kobieta z wyższym, ba, najwyższym można powiedzieć ukształceniem, niezrozumiana nigdy przez nikogo, tym bardziej przez takiego prostaczka jak Tomasz, potrzebująca ciągle wykwintnego towarzystwa, otoczenia literatów, artystów, mężów stanu i t. p. Wkrótce też po ślubie Tomasz uczuł cały ciężar przymiotów serca i umysłu swojej żony. Z licznymi gośćmi swymi nie miał o czem mówić, ale też i niewiele dbano o niego: każdy się pytał o panią, ledwie przypominając sobie że i pan istnieje. Powoli zstąpił Tomasz do roli marszałka domu, rządzący majątku; ale i te role pełne były kolców. Prezesówna-artystka rozrzucała pieniądze z właściwą artystom niedbałością o jutro, a opozycja mężowska, najdelikatniejsze z jego strony uwagi, wywoływały takie burze nerwowe, o jakich nawet nieobdarzony drażliwymi nerwami Tomasz żadnego nie miał dotąd wyobrażenia. Mimo więc jego przemyślnych zabiegów, mimo nieruchomości w Warszawie i na prowincyi, (bo i dobra były) mimo większej pensyi, (bo i drugi awans otrzymał), długi rosły w zastraszający sposób. Tęm się tylko pocieszał, że ze wszystkich znajomych mu osób, zaczawszy od samego prezesa aż do stróża który mu bramy pilnował, ani jednej nie było, któraby nie wydawała więcej niż miała dochodu.

Na drugi dzień po ślubie Tomasza, odbył się ślub drugi, niemniej ważną stanowiący epokę w tej powieści.

O godzinie 11 rano tłum eleganckich karęt stanął przed kościołem o. o. kapucynów i pan Zygmunt Orzelski w podróżnym ubiorze stanął przed ołtarzem, z nadobną panną Klotyldą Beczułkiewiczówną, również po podróżnym przybraną.

Zygmunt, po powrocie na wieś, rozważywszy z zimną krwią swoje postępowanie, uląkł się własnej romansowości i postanowił stanowczo zagrozić jej nadal drogę. Złożył więc wizytę Beczułkiewiczom, Rotszyldom okolicy, i znalazł że panna Klotylda jest materiałem, z którego, przy dobrym kierunku, może mieć godną siebie towarzyszkę żywota. Młodzianka jeszcze to była dziewczyna, okrągła, pulchna, rumiana, z wyrazem twarzy wprawdzie trochę niedołążnym, ale nadzwyczaj łagodnym, z nader szczupłym zakresem wyobrażeń, ale i z małemi wymaganiami. Na żonę taka najlepsza, pomyślał sobie: siedzi w domu, kołysze dzieci, dogląda gospodarstwa, kieruje się zdaniem i wolą męża. Przy takim majątku, będąc miał obszerne pole działania. Stary Beczułkiewicz trochę gburowaty, matka ordynaryjna, ale mogą po ślubie usunąć się z ich towarzystwa. Mniejsza o to, że na likierach i araku dorobił się pieniędzy; teraz epoka demokratyczna, nikt mi tego za złe brać nie może. Z takimi ludźmi interes pewny, można się targować i nie kupować kota w worku.

W następstwie tych kombinacji, Zygmunt w ostatnich dniach zapust stanął na ślubnym kobiercu, a nazajutrz pan Tomasz, stały prenumerator i czytelnik Kuryera Warszawskiego, wyczytał następujące doniesienie:

„Wczoraj, o godzinie 11 rano, w kościele o. o. kapucynów przy ulicy Miodowej, w obec zebranych rodzin Orzelskich i Beczułkiewiczów, pobłogosławionym został przez jmc. księdza X*, związek małżeński pomiędzy panną Klotyldą Beczułkiewiczówną, córką Fulgencjusza i Krystyny z X* małżonków Beczułkiewiczów, obywateli ziemskich, a panem Zygmuntem Orzelskim obywatelem, synem Kaliksta

i Taidy z hrabiów X* małżonków Orzelskich. Prowadzili do ołtarza pannę młodą panowie X. Y. Z., i t. d. Po ukończeniu aktu religijnego, gościnne podwoje domu Orzelskich otwarły się dla przyjęcia gości zaproszonych na wystawne śniadanie, po którym niebawnie państwo młodzi opuścili Warszawę, udając się za granicę. Do ogólnych życzeń jakie towarzyszyły związkowi tej młodej i nadobnej pary, łączącej się pod opieką i godłem wiary i cnót domowych, niech będzie wolno Kuryerowi Warszawskiemu dołączyć i swoje.“

Czy spełniły się ogólne życzenia, wraz z życzeniami Kuryerka? chcąc na to pytanie odpowiedzieć, trzeba przedewszystkiem znać wyobrażenia pytającego o szczęściu. To tylko o poźyciu Zygmunta donieść możemy, że się w wielu względach nie omylił w rachubie. Klotylda rzeczywiście była słodką, łagodną, potulną żoną, zgadzającą się we wszystkim z wolą męża. Ubięrała się według jego dyspozycji, mówiła, przyjmowała tych i w taki sposób, jak jej mąż zalecał, w podróży chwaliła to co on chwalił, a ganiła co ganił, zaczawszy od makaronów włoskich, aż do kościoła św. Marka. Z początku Zygmunt zamierzał podnieść nieco umysłowy poziom swojej żony, tłumaczył jej wiele rzeczy, dobięrał książek, rozpoczął formalne lekcje geografii i historii. Ale Klotyldę bolały oczy od czytania, a od lekcji odstraszyła męża widoczną niechęcią i oświadczeniem, że geografii nie potrzebuje, nigdy bowiem sama podróżować nie będzie, a pożycie małżeńskie doskonale może się obejść bez historii. Zwiędzanie galerij obrazów, muzeów, oglądanie gmachów, było dla Klotyldy najcięższą z powinności nowego stanu: robiła to wszystko, ponieważ Zygmunt powiedział że tak trzeba, słuchała jego opowiadań, słuchała z niewyczerpaną cierpliwością w salonie rozpraw o sztuce, polityce lub literaturze; ale jakże szczęśliwą się czuła, kiedy mogła pozostać w swoim pokoju i tam w towarzystwie panien służących spokojnie oczekiwać powrotu męża! Bardziej niż los Medyceuszów lub obrazy Fra Angelico, obchodziło ją to, ilu oberżyszcina ma synów, a ile córek, dla czego jedna z tych ostatnich zamaż do tego czasu nie poszła, a druga uciekła od męża i t. p. Wszędzie też spotykając polskie towarzystwa, w nich najczęściej czas przepędzała na wzajemnym opowiadaniu swoich stosunków i drobnych wydarzeń jeszcze w kraju doznanych. Los filizanki w ręku jakiejś niezdarnej służącej, dostarczał tym paniom tematu do kilkogodzinnej gawędki.

Powoli Zygmunt porzucił zamiar ożywienia nowej Galatei. Pozostawiwszy żonę jej upodobaniom, zaczął żyć na własną rękę. Rozmiałował się niezmiernie w obrazach, posągach, kameach, skupował je i przysyłał do swego pałacu. Może pragnął koniecznie czems ożywić pierś pustą, dać cel wycieczce, która teraz żadnego już nie miała.

Objechawszy Włochy, nie zaniedbano zwiędzić i Paryża. Gdy jednak ani powierzchowność, ani dary umysłowe pani Orzelskiej nie dawały widoków, iżby z zadowoleniem ambicyi męża, mogła wystąpić na wielkim świecie, krótko zabawiono w stolicy świata i zawrócono do miłych stron kujawskich. Tu pan Zygmunt z zapałem wziął się do urządzania domu, do ustawiania skarbów sztuki przywiezionych z zagranicy, zaczął gospodarować z prawdziwą wściekłością, polować jak Nemrod, rej wodzić między obywatelstwem okolicznym; ale we wszystkiem tém widać było jakąś gorączkę, nie zaś naturalne, zdrowe upodobanie. Była w sercu jego próżnia, której żadne wysilenia, żadna praca zapełnić nie mogły.

Sprykrzywszy sobie obrazy i posagi, sprykrzywszy bieganie po kniejach, wrócił Zygmunt do dawnych myśli zreformowania stosunków ekonomicznych, dania wielkiego przykładu i popędu przemysłowego okolicy. Teraz miał środki potemu. Gorącą wymową przekonawszy kilku zamożnych sąsiadów, założył jakąś handlową spółkę, a w własnych dobrach, sprowadziwszy techników z zagranicy, wybudował olbrzymi młyn parowy. Po całych nocach siedział nad rachunkami, jeździł w interesie spółki, słowem pracy poświęcał się z zapałem. Ale wkrótce zaśły kolizye; każdy ze stowarzyszonych miał inny pogląd na rzeczy, poróżniono się i zarząd spółki przeszedł w ręce płatnych urzędników, którzy poczęli

z niedbalstwa, a głównie z braku pełnomocnictwa do obszerniejszych i swobodniejszych działań, osadzili cały interes na mieliźnie i nastąpiła likwidacja.

Młyn parowy stanął wielkim kosztem i funkcjonował doskonale; jedna tylko fatalność była mu na przeszkodzie. nie miał co młéć.

Jakto? w kraju przeważnie rolniczym, w wielkich dobrach i doskonałej glebie, młyn parowy, jedyny na kilkanaście mil w promieniu, nie miał co młéć? czyż to być może? wykrzyknie czytelnik. Nie miał, bo dostawa zboża do młyna była trudna i droga, a zbyt mąki nie odpowiedni kosztom. Nie wiedzieć co było robić z tą mąką. W okolicy można było sprzedawać stosunkowo niewiele i tanio; dalej brak transportowych środków czynił niepodobną konkurencją z drobnymi zwyczajnymi młynami. Odstawa do Warszawy lub za granicę także się nie opłacała.

Wkrótce kosztowny młyn stanął pustkami, a Zygmunt, zbrzydźszy sobie przemysł, wyniósł się do Warszawy na stałe pomieszkawie. Humor jego zmienił się zupełnie. Cierpki, drażliwy w domu, w towarzystwie nawet, choć śmiał się i żartował, nie porzucał ironii, która mu się stała drugą naturą. Przyjmował hucnie u siebie, bywał w wielkim świetle, a jak przed rokiem gorliwie zajmował się młynem i spółką handlową, tak teraz cały się rzucił w sport, karty, hulanki i zakulisowe romanse. W tych zajęciach i rozrywkach wielkiego pana, błyskał mu czasami przed oczyma wyobraźni obraz Ewy i wracały wspomnienia marzeń jakie go na chwilę uniosły; ale wspomnienia te tłumili czempredzój—one należały do innego świata, którego bramy były dla niego zamknięte.

Na tém zakończam nateraz moje opowiadanie.

A reszta bohaterów tej powieści? zapyta czytelnik: Ewa, Jan, Józef, Róża, cóż się z nimi stało?

Ewa, przy pomocy swjej siostry i własnej gorliwej pracy, zapewniła stariej matce wcale przyzwoite utrzymanie, a braciškowi naukę. Jan kształcił się w Paryżu w jednym z najpiérwszych zakładów technicznych. Józef, założywszy warsztat, stopniowo budował sobie podstawy materyalnego bytu, szerzył oświatę między robotnikami, dostarczał Janowi funduszów na dłuższy pobyt w Paryżu i miał widoki przełamania przesądów pana radzcy i jego żony, zwłaszcza że nie mogli odmówić uznania zbawienemu wpływowi jego na przemianę Róży, która stała się prawdziwą pociechą swoich rodziców. Czy było wesele Józefa z Różą; czy Jan wytrwał w stałej miłości i przełamał obojętność Ewy, o tém może nieco później opowiem czytelnikom.

Wl. Bartkiewicz.

K O N I E C .

Przegląd piśmienniczy.

„Wielość światów zamieszkiwanych.“ studjum Karola Flammariona, profesora astronomii i t. d.

Prawa rządzące wszechświatem wykrywa astronomia. Bogata zasobami wiedzy, na które składały się wieki całe, śledzi ona te nieprzystępne sfery eteryczne, te przestrzenie błyszczące nieznanym życiem w niezmiernym oceanie nieskończoności. Badając przestwór niebieski, najwymowniejszy zaiste obraz wielkości Bożej, człowiek przychodzi zarazem do poznania swjej nicości, do określenia stanowiska własnego, bardzo podrzędne w szeregu tworów zaludniających inne światy. Po wszystkie czasy człowiek, wpatrując się w firmament, zasłany niezliczonymi gwiazdami, szukał rozwiązania zagadnień życia, stosunku łączącego go z tajemniczym ich istnieniem, wierzył w ich wpływ na swe losy. Z powiązania ułamków prawd przypadkowo odkrytych, z mrzonkami wyobraźni, wzięła życie ciemna nauka wieszczbiarstwa, astrologia, z której znowu poczęła się wiara w fatum, cisnące żelaznym ramieniem bohaterów starożytnych. Ale przyszedł czas wyzwolenia się z powijaków błędu; ludzkość przejrzała, i dziś człowiek zbrojny w potęgę nauki sięga w niebieskie stropy i zbiera nie okruchy mistyczne, ale prawdy posilne dla ducha, czerpane ze ścisłej obserwacji faktów, ze spostrzeżeń mających podstawy rzeczywiste. Migotliwe gwiazdki wieczornego

nieba, to słońca, około których krążą całe szeregi nieznanych planet, a zważmy że w samej drodze mlécznej osiemnaście milionów takich słońc istnieje! Na każdej planecie roj się lub roi życie. Ile gwiazd, tyle prawie ludzkości niezbadanych.

— Ależ to utopie, złudzenia—może nam kto zarzucić.

Zamiast odpowiedzi, odsyłamy pesymistę do słynnego dzieła Flammariona, dzieła liczącego w samej Francji osiem wyczerpanych wydań, traktującego o wielości światów zamieszkiwanych, którego przekładem przysłużył się naszej literaturze naukowej znany naturalista i autor *Flory Polskiej*, sędziwy profesor-emeryt, Jakub Waga.

W oceniu tej ważnej i ciekawej publikacji przedewszystkiem wypada nam zapoznać się ze stanowiskiem autora, ze szkołą do której należy, z celami jakie sobie założył, wreszcie z planem i przeprowadzeniem aspostołowanej przez niego idei.

Flammarion pracami swimi wyosabnia się całkiem od nowej szkoły takzwanéj materyalistycznej, której reprezentantami są Moleschott, Feuerbach, Vogt, Büchner w Niemczech; Frankland, Tyndall, Darwin w Anglii; Delaunay Lespiault, Lartef, Dujardin we Francji, —pomimo że owa szkoła zagarnęła pod swą chorągiew wielu myślicieli i kwiat inteligencji uniwersyteckiej. Nie trzeba, powiada ona, stawiać z jednej strony dzieł natury, a z drugiej natury samej. Natura jest tworem, a nie osobą. Szkoła ta organizacyi świata nie czyni zależną od tajemniczej siły zewnętrznej, lecz przypisuje ją kombinacyom przyrodzonych sił i materyi, nadającym stworzeniu kształty najrozmaitsze. Odrzuca ona tém samém celowość w naturze. Czyliż ta tak mądrzeurządzona natura nie ulegnie z kolei jakiej wielkiej katastrofie? zapytują materyaliści. Czyż w takim razie nie potrzeba będzie wieków, aby nowe formy bytu z materyi powstały?

Twory jakie dziś dostrzegamy, potrzebowały milionów lat aby się objawić; chwila je poczęła—ale wieki kształtowały. Organizacya ich układała się odpowiednio do warunków klimatycznych i żywiołu otaczającego. Jeżeli ptak ma skrzydła, to nie dlatego aby latał w powietrzu—ale lata w powietrzu, dlatego że ma skrzydła.

Jak pogodzić celowość z istnieniem mnóstwa zwierząt szkodliwych? Tasiemiec wydaje miliony drobnych jajek, rozradzających się w potomstwo, szarpiące wnętrzości ludzi i zwierząt. Jak objaśnić cel jego bytu? Jak wytłumaczyć istnienie organów i narzędzi całkiem bezużytecznych u człowieka i innych zwierząt? Vogt przytacza przykłady zwierząt dwupłciowych, potrzebujących jednak do spełnienia funkcji zapładniania dwóch oddzielnych osobników,—i zapytuje jaki może być cel podobnego urządzenia? Płodność niektórych zwierząt tak jest niezmierna, że gdyby nie przeszłoby napotykanie, pokryłyby one wkrótce swém plemieniem ląd i morza. Pocóż ta płodność, te narzędzia, gdy takiej masie zwierząt żyć niepodobna, bo brakłoby miejsca i pożywienia dla nich?

Oto pogląd materyalistów na naturę, odnośnie do jej celowości. Zaznaczyliśmy go tutaj dlatego, że stanowi jedną z głównych podstaw tej szkoły, dlatego wreszcie, aby poznać różnicę pojęć w tej mierze Flammariona. Stawa on po stronie celowości, jakkolwiek owa szkoła bynajmniej jego doktryny, dotyczącej wielości światów, nie obala, ale przeciwnie, nawet z punktu takiego zapatrywania się daje jej pewne poparcie.

Flammarion, nie zstępując z pola naukowego postępu, pragnąłby z drugiej znowu strony pogodzić naukę z dogmatem chrześcijańskim. Zadanie to trudne, przyznajemy. Nie przyszedł jeszcze czas, aby naturalista, filozof, teolog, artysta mówili jednym językiem i rozumieli się wzajemnie. Nauki zrobiły postęp olbrzymi, z którym długi czas nie rachowała się filozofia, a teologia o nim i słyszeć nie chciała. Ztąd próżnia szeroka między nauką a kościołem, o której zapełnienie czas woła wielkim głosem. Że drogi ich, jakkolwiek odmienne, schodzićby się mogły, najwymowniej może przekonywają słowa Galileusza, które Flammarion w przypisach przytacza, a my nie możemy się oprzeć chęci ich powtórzenia...

„Gdybym się zapytał teologa, pisze Galileusz, czyjém dziełem jest słońce, czyjém dziełem księżyc i ziemia, ich położenie i ich ruchy, sądzę że odpowiedziałyby mi: są to dzieła Boskie. Gdybym się go potem zapytał, z czyjego natchnienia pochodzi Pismo święte? odpowie mi: z natchnienia Ducha świętego, to jest samego Boga. Ztąd wypada że świat jest dziełem, a Pismo święte słowem Boga. Jeżeli mu dalej uczynię pytanie, czy Duch święty używa kiedy wyrazów będących w sprzeczności pozornej z prawdą, ponieważ prostota w tych wyrażeniach zastosowana jest do inteligencji gminu, odpowie za pewne, zgodnie z ojcami kościoła, że nigdzie niema innych wyrażen w Piśmie świętém, że to jest jego styl właściwy.

„Jeśli zechcę zapytać go, czyli Bóg, aby dzieło swoje zastosować do pojęcia ciemnego gminu, zmienił kiedy swój utwór; czy natura właściwa Bogu, lecz niepojęta dla człowieka, i której żadne jego usiłowanie nie może zmienić, zawsze tymże trybem postępowała, nie zbaczając ze swego biegu? przekonany jestem że mi odpowie, iż księżyc zawsze był kulą, chociaż lud długo uważał go za krąg biały; krótko mówiąc, wyzna, że natura nigdy niczego nie zmieniła, aby się nam przypodobać i że nigdy nie zajmowała się modyfikowaniem dzieł swoich, stosownie do życzenia, do mniemania i łatwości ludzi. Skoro tak jest, dlaczegoż więc, chcąc świat i jego części składowe poznać, mamy wyżej cenić słowo Boże, nad samo dzieło Boga? Czyliż dzieło mniej jest dokładne i mniej szlachetne, jak słowo? Pozwólmy aby słowu drugie miejsce naznaczyć, ile razy dzieło stworzone zdaje się oddalać od niego; żadnej przez to nie zrobi się krzywdy Pismu świętemu.“

Gdyby tą myślą przejęci byli zawsze strażnicy wiary, nie spłonąłby żywcem na stosie Jordanus Bruno za swe idee filozoficzne, a zwłaszcza téż za doktrynę wielości światów; nie wypierałby się na kłęczkach ruchu obrotowego ziemi pod naciskiem inkwizytorów Galileusz; nie byłby zmuszony szukać u stolicy apostolskiej protekcyi dla swego systemu słonecznego Kopernik. Odkrycia naukowe nie kłopotowałyby powagi Pisma; ludzkość kroczyłaby bez zwątpienia i niepewności po drodze postępu.

Że dziś jeszcze tak nie jest, przekonywa namiętna walka przeciw postępowcom, prowadzona bez wytchnienia przez stronnictwa wsteczne, zwłaszcza we Francji i Włoszech; przekonywają bezsilne anatemy, jakimi ciskają na doktrynę Flammariona, pomimo że takowa, jeżeli się wolno tak wyrazić, powiększa tylko majestat wielkiego architekta wszechświata.

To nam téż tylko wytłumaczyć może, dlaczego autor w publikacji swjej pomieścił szeroki dział filozoficzno-teologiczny. Broni on idei swjej na tym gruncie, na którym go atakowano, a zarazem pragnie dla niej pozyskać prawa obywatelskie nie tylko w kołach naukowych, ale i w społecznych.

„Doktryna wielości światów, powiada we wstępie, jest zarazem naukową, filozoficzną i religijną. Astronomia, pisze gdzieindziej, powinna być odtąd *busolą filozofii*, powinna przed nią postępować i jak pochodnia oświecać drogę świata.“

Autor zapomina, że dziś jeszcze taką busolę filozofia uważa za bardzo podrzędne narzędzie, że między nią a nauką brak łączników i danych, na którychby system podobny mógł się wspierać. Wyobraźnia nasza szybować może w przestrzeniach ducha, tworzyć hipotezy, wyprowadzać wnioski, rozbiierać wszelkie zagadnienia metafizyczne, ale nauka poważna nie może jej w tej podróży towarzyszyć.

Przechodzimy do planu i przeglądu doktryny wielości światów.

Praca autora rozpada się rzeczywiście na dwa działy odrębne: *astronomiczno-fizyologiczny* i *filozoficzno-teologiczny*, z których ostatni nasunął nam powyższe uwagi. Poprzedza je rys historyczny badań, w którym Flammarion udowadnia z pomocą umiejętnéj syntezy, że idee wielości światów nianczyły ludy starożytne, że ona była przedmiotem najgenialniejszych mężów. Zbierając tradycje teogoniczne Chińczyków, Indyan, Arabów, Egipcyan, Greków i późniejszych ludów, okazuje powszechność tej doktryny, przyjmowanej przez długi szereg filozofów. Empe-

dokles, Arystarch, Anaxymander, Anaxymenes, Archelaus z Miletu, Pytagoras, Parmenides i Zenon, że pominiemy wielu innych, do nich należą. Świeczniki to cywilizacyi greckiej. Szkoła Epikura nauczała wielości światów, agarnęło się do niej wielu adeptów.

Przechodząc wieki średnie i nowsze czasy, autor niemniej długą daje nam listę astronomów, naturalistów i filozofów, będących wyznawcami tej idei. Odczytujemy w niej wielkie imiona: Cusy, Jordanusa, Brunona, Galileusza, Kartezjusza, Gassendi'ego, Huygensa, autora pomnikowego dzieła: *Cosmotheoriae*, w której naucza astronomii planetarnej i rozbięra warunki zamieszkalności każdego ze światów napowietrznych. Dalej idą: Leibnitz, Bernouilli, Burnet, Newton, Derham, Kondyllak, Lambert, Diderot, Buffon i wielu innych myślicieli.

Badanie natury, powiada Flammarion, tworzy i umacnia w umyśle ludzkim ideę wielości światów. I słusznie. Prawda ta widnieje na każdej kartce części następnej astronomiczno-fizyologicznej, nie najszerzej, ale najważniejszej, do której też z kolei przystępujemy.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Lwów, w październiku.

Zakład naukowy imienia Ossolińskich przechodzi już w przyszłym miesiącu pod zarząd właściwego kuratora, księcia Jerzego Lubomirskiego. Według wymagań statutów zakładu, sprawozdanie kuratoryi połączone jest ściśle z ordynacją przeworską, której ustanowienie rozmaite odraczały przeszkody; zaczął aż do załatwienia tej sprawy zawiadował zakładem mianowany przez rząd zastępca kuratora, radca namiestnictwa, znany w świecie uczonym autor *Wieku Skargi i Żywota Oleśnickiego*, Maurycy hr. Dzieduszycki. Przyznać należy iż ile w danych okolicznościach uczynić można było dla zakładu, zastępca kuratora to uczynił.

W najpierwszym rzędzie stoi zasługa uporządkowania majątku zakładu, który w niepomyślnym przed laty kilkunastu znajdował się stanie. Zaprzeczono wiele zapisów poczynionych dawniej zakładowi, trzeba więc było upominać się o nie drogą procesu. Sprawy te, dziś po większej części polubownie pozatławiane, postawiły zakład w możności czynienia znacznie większych wydatków na cele naukowe. Jakoż od lat kilku wychodząca *Biblioteka zakładu im. Ossolińskich*, pod redakcją dyrektora zakładu Augusta Bielowskiego, jest jednym z najznakomitszych pism naukowych i zawiera niezmiernie cenne prace i materiały, zwłaszcza pod względem historycznym. Na zakup książek i powiększenie zbiorów naukowych wydaje zakład rokrocznie w przecięciu około 20,000 złp. Nie jest to wprawdzie wielka summa w porównaniu do dochodów; dotąd wszakże były jeszcze znaczne bardzo wydatki na ukończenie budowy gmachu, urządzenie muzeum, spłatę długów ciążyących na majątku zakładu i t. p. Obecnie, gdy stan majątku oczyszczono, a zakład urządzono niemal zupełnie, będzie można zapewne znacznie większą kwotę przeznaczyć rocznie na z bogacenie biblioteki i zbiorów.

Dnia 12 b. m. odbyło się w zakładzie posiedzenie naukowe, któresię corocznie w tym dniu ku uczczeniu pamięci założyciela odbywa. Zastępca kuratora odczytał sprawozdanie obejmujące nie jak zwykle jednoroczny przeciąg czasu, lecz obszerniejszy pogląd na zmiany zaszłe w zakładzie, za czasu zawiadywania zastępcy. Urządzenie muzeum, rozprzeźstrzenie czytelnicy umieszczonej obecnie na pierwszym piętrze, wzdłuż całego lewego skrzydła w sali wizerunków, wiele się przyczyniło do upiększenia zakładu, zarówno jak do wygody czytelników i do przedstawienia zbiorów w należytem świetle. Ostatniemi czasy przybył dar majora Kinla i z bogacił prawdziwie cennymi swojemi utworami galerją obrazów.

Przyjętym z dawna zwyczajem odczytali na posie-

dzeniu rozprawy treści literacko-naukowej: August Bielowski dyrektor i Ksawery Godebski kustosz zakładu.

Okropny pożar, którego ofiarą w przeszłym miesiącu padł Stanisławów, tak iż przedmieścia tylko pozostały, a całe miasto ze szczerem zgorzało, dał powód do licznych objawów spółczucia na rzecz pogorzalców. Posypały się ze wszech stron datki i ofiary. Oprócz zapomogi 60,000 złotych, urządzano na ten cel rozmaite widowiska, gry, teatry. Pomiedzy innymi malarz Tępa otworzył na dochód pogorzalców w sali radnej tutejszej wystawę najnowszych swych obrazów. Składa się ona z czternastu dzieł, nie liczba więc, ale jakość artystyczna obrazów stanowi wartość wystawy. Są to same akwarele.

Największego rozmiaru, dochodzący niemal naturalnej wielkości, jest portret śp. Grottgera, jedno z najlepszych dzieł na wystawie, a zarazem najudatniejszy portret zmarłego. Kolega kolegę, artysta artystę malował z uczuciem, z zamilowaniem, co znać w każdym pędzla pociągu. Natchnienie ogrzewające duszę artysty, młodzieńcze opromienienie oblicze, a w głębi na tle ciemnym przelatująca piorunowa strzała, wyraża śmierć przedwczesną.

Po portrecie Grottgera, na główną uwagę zasługują dwie wielkich rozmiarów akwarele, wyobrażające starego gazdę i gazdynię z Poturzycy. Tępa, rzecz można, lubuje się w przedstawianiu starców. Jego stara Cyganka, godło nędzy, uznana była przez znawców za arcydzieło. Obecnie dwa wspomniane wizerunki starca i staruszki chłopki, nie ustępują owej Cygance co do wykonania, przeciwnie, przewyższają ją może jeszcze starannością wykończenia i piękniejszym typem fizyognomij. Pod pędzlem Tępy starość traci swą cechę odrażającą, promienieje łagodnością, powagą, cichym spokojem, przypominającą pogodę dnia jesiennego. Obok starców, widać i młodsze pokolenie. Marysięńka z okolic Truskawca jest jedną z najpiękniejszych żniwiarek w świecie. Twarzyczka pełna idealnej miękkości, promienieje rumieńcem zdrowia i życia, a świąteczny, malowniczy strój wieśniaczej dziewczeczki podnosi jej wdzięki. Niemniej pięknym jest typ młodzieńca wieśniaka. Włosziankę o melancholijnem oku, nazwaną w spisie wystawy typem idyotki, widzieliśmy już dawniej na wystawie lwowskiej, niemniej wójta i gajowego z Poturzycy i stolarza staruszka, dumającego w swoim warsztacie. Wszystkie te obrazy mają zalety właściwe Tępie: misterne, miniaturowe niemal wykończenie, połączone z pochwytnością idealnego typu, uwydatniającego zazwyczaj w jednej postaci całą jakąś sferę społeczną. Razem wzięte, przedstawiają one całe życie ludzkiego, ze wszystkimi jego usposobieniami i uczuciami na dnie duszy bijącymi, które w głębi tej oko artysty dopatrzeć, a pędzel jego na jaw wyczarować umie. Praca to rozległa, zadanie wielkie, ale i skarbnica wzorów i natchnień niewyczerpanie bogata.

Najbardziej może sympatyczny, najliczniejsze grono widzów ku sobie ściągający, jest obrazek przedstawiający dwóch chłopczków z wiejskiej szkółki powracających. Krajobraz zimowy zamglony, smutny; w głębi widać kościółek otoczony cmentarzem, jak to bywa po wsiach naszych. Dwóch chłopczków ujęło się wpół po bratersku i gwarząc, z okiem wesołym pomimo zimna i śniegu, żwawo powracają do domu ze szkółki, jak to znać po torbeczkach z książkami pod pachą. Jeden z chłopczków, to widocznie pańskie dziecko, drugi znać po ubiorze że syn włoszkański.

Świątek przedstawiony w obrazie Tępy nie byłby zupełny, gdyby w nim brakło Żydów. Malarz wybrał chwilę najbardziej charakterystyczną — przedstawił starowierców husytów przy modlitwie. Jeden z nich w śmiertelnej koszuli na głowę zarzuconej, w szabasowej, sobolowej czapce, z rozwartą modli się książką; drugi obok niego, pogrążony w zadumie, w rozmyślaniu — czy słucha słów modlitwy, czy sam ją zcicha odmawia. Oblicza ich przybrały wyraz surowy ascetyzmu. Świat zwykły ze swemi powszednimi sprawami zniknął im z przed oczu. W tej chwili są to ludzie innego, niedzisiejszego świata, potomkowie innych pokoleń. Kompozycja

ta zajmuje jedno z pierwszych miejsc w rzędzie znanych dotąd obrazów Tępy. Była ona wraz z pięciu innymi akwarelami przeznaczona do Anglii, zkąd artysta ostatniemi czasy otrzymał zamówienia. Obecnie wyjeżdża Tępa w okolice Kołomyi i Śniatynia, zbierać typy Huculów.

Na wystawę fotograficzną do Hamburga wysłał fotograf tutejszy p. Szajnok zbiór najnowszych dzieł swego zakładu. Jest między niemi przepyszne *Album krasieczyńskie*, o którym w ostatnim liście już wspominałem, składające się z przeszło trzydziestu na miejscu zdjętych widoków zamku i okolicy. Obok widoków Krasieczyna, posyła p. Szajnok na wystawę hamburską swoje *Album żółkiewskie* i fotografie ostatnich prac śp. Grottgera, stanowiące także osobne album. P. Szajnok tak udoskonalił swój zakład, iż fotografie jego nie ustępują w niczem tego rodzaju dziełom zakładów zagranicznych, jeżeli zapatrzymy się na nie okiem bezstronnego znawstwa. Ciekawa więc rzecz jak krytyka zagraniczna osądzi twory jego na wystawie hamburskiej i jakie im w rzędzie znajdujących się tam dzieł miejsce naznaczy.

O obrazach Tępy na wystawie wiedeńskiej podczas uroczystości strzeleckiej, wyraziły się dzienniki tamtejsze bardzo pochwalnie, chociaż wyznać potrzeba, iż chwałą one bardzo niechętnie wszystko co od nas pochodzi. Na wystawie rzeszonej były trzy obrazy Tępy, mianowicie: portret Grottgera, cieśla w swym warsztacie i chłopcy powracający ze szkoły.

Przejdźmy na chwilę do teatru. Zasługuje na wspomnienie wielkich zalet nowa komedia, przedstawiona w ciągu ubiegłego miesiąca, pod tyt. *Dwie Zosie*, przez Władysława Wróblewskiego. Po raz pierwszy w szranki występujący młody autor, zdradza wprawdzie jeszcze pewien brak wprawy w układzie scenicznym, w rozliczeniu należytem efektów, których zręcznym wprowadzeniem wielu nowszych zwłaszcza pisarzy pokrywa brak zalet istotniejszych i wyższych artystycznych tendencyj; nie uganiając się za błyskotkami, wrażeniami i niespodziankami, przedstawia wyborny obrazek, a raczej fotografią z wielkim pochwyconą humorem, stosunków dzisiejszych miejscowych. Komika płynie pełnym zdrowiem, niewymuszenie, z samego związku sztuki, z bardzo trafego zarysowania stosunków i postaci charakterystycznych. Na tém tle wydatnieją, jakby dwa kwiatki z niego odstające, wdzięczne postacie dwóch Zosi, przesuwają się przed widzem rzewny romans, przebiegający całą skalą dziewczęcych uczuć, aż do poświęcenia się wzajemnego. Komedia p. Wróblewskiego, bardzo przychylnie przyjęta przez publiczność, mniej przychylnie przez krytykę, może właśnie dlatego iż dotyka niektórych drażliwych stosunków naszego dzisiejszego społeczeństwa, jest pomyslną zapowiedzią, iż scena nasza zyska w autorze uzdolnionego pisarza. Zapowiedziana jednocześnie druga nowa sztuka, również młodego, poraz pierwszy występującego autora: *Zbrodniarz*, dramat w pięciu aktach Dawida Abrahamowicza, dopiero w przyszłym tygodniu będzie przedstawiona. W przyszłym także tygodniu spodziewamy się przybycia p. Bakałowiczowej, która po ukończeniu swych gościnnych występów w Krakowie, przyjeżdża do Lwowa.

Listy do W... P...

I.

Belgrad, d. 25 września 1868 r.

Zapatrzonemu na cudowne brzegi Bosforu, kołyszącemu się może w kaiku po wodnej fali, a może dumającemu w cyprysowym lesie, lub pragnącemu ciekawym okiem przejrzeć zastaną kryjącą twarz Turczynki od słońca i wzroku giaura — posyłam dwie piosnki, które nad szarym Dunajem wyspięwała pierś młoda, serce nie zawichrzone rozpaczą, nie zgorzkniałe jeszcze, dusza czuła na wdzięki przyrody, wrażliwa, wierząca niewinnie, a tak krótko na

tęj ziemi żyjąca, że nie miała czasu ani wiosennych ideałów zburzyć, ani poczętej pracy dokonać, i zostawiła po sobie zaledwie kilka rzewnych zrymowanych westchnień.

Więc kiedy tutaj tak cicho naokoło mnie, kiedy na zewnątrz niczym głodu wrażeń zaspokoić nie mogę, a ty się dopominasz o wieści, zamiast pisać ci o powszedniego żywota kolejach, z niewielkiej książki wyrrywam kartki i tłumaczę.

Są to pieśni nieznanego u nas poety, którego natchnienie ani myśl nie wzniosły się do tej potęgi, jakaby mogła go wkupić do wielkiej rodziny wieszczów; ale że zapowiadała wiele, czuł i kochał gorąco, że pierwszy z nowoczesnych pisarzy serbskich w uroczą formę prostoty ujął język, a umarł młody, marzący o narodowej epopei, spracowany i nad książką — zatem godzinę wspomnienia.

Branko Radiczevicz urodził się w r. 1824. Ukończywszy szkoły początkowe, wszedł do uniwersytetu wiedeńskiego na wydział prawa; z czwartego kursu przeszedł na medycynę. Umarł 1853 roku w Wiedniu. Żył lat 29. Krótkie, lecz wypełnione pracą życie. Wrzący zapal poetyczny podsycał chęć nauki, poważna praca uchroniła go od tak często spotykanych wybryków artystycznych.

Zmęczony studiami, pamiętny na kraj rodzinny, kochanek natury, wtajemniczony w pół-bohaterskie, pół-dzikie dzieje swego narodu, — Branko na okładkach książek, w chwili spoczynku, w rozrzwinięciu za przeszłością, pisał swoje pieśni, i zebrała ich się spora książka (o 370 stronicach), wdzięczna pod względem formy, wolna od rozpacz i przekleństw, a niemal cała układająca się do śpiewu.

Serbia, mimo nieprzebranego bogactwa pieśni i podań ludowych, podziśdzien, tak samo jak Czechy, nie wydała wielkiego poety, któryby obficie źródło pamiętek narodowych ujął w prawdziwie artystyczne ramy. Straszne niedolą, potężne bohaterstwem Kosowe pole, nieulekniony, silny królewicz Marko, ten Cyd Słowiańszczyzny, ulubieniec ludowy, wojny z r. 1804 — domagają się wieszcz. Dzięki niezmiernemu *Wukowi Karadzicowi*, późniejszym zbiorom *Petrancwicza* i innych, wydobyto już z ziemi olbrzymich kształtów marmury; brak tylko Fidasza.

Lud po wsiach śpiewa, snują się ślepi rapsodzi-zebracy, opowiadający przy dźwięku gęśli krwawe boje i ucisk turecki; często ponad łunę pożaru i pozabijane męża, wybiegnie jak gołąb biały jakaś postać powietrzna, wytwór wyobraźni narodowej; lecz jeszcze raz ze smutkiem powtórzę wypada, niema nikogo, któryby streścił w sobie poetycznego ducha narodu, złał w jeden pomnik wspaniały rozrzucone skarby.

Aż do Wuka Karadzicza niepospolitą przeszkodę przedstawiał język bez prawideł, nieoczyszczony z naleciałości, niepodniesiony i niewyrobyony tak, aby mógł odpowiedzieć wszystkim wymaganiom nauki i piękna. Uczeni pisali zrozumiale li tylko dla siebie; mowę ludu nazywano pogardliwie świniańską. I w tym najwyższa zasługa Wuka (*), że niezrażony przeciwnościami, jakie mu z początku własni ziomkowie stawiali, doprowadził język do jasności i jedności.

Wiadomo, że w sprawie języka najwyższą władzą wyrokującą jest *poezja*; nie przyjmie ona ani jednego wyrazu, któryby się sprzeciwiał duchowi danego narodu.

Owóż dwaj najznakomitsi ostatnich czasów poeci serbscy, *Piotr Pietrowicz Niegosz* władca czarnogórski (**) i *Branko Radiczevicz*, poszli śladem Wuka. Co zaś uczony badacz postanowił na mocy dociekań historycznych i lingwistycznych, obu śpiewakom wypłynęło z duszy swobodnie, tak że zdaje się iż inaczej myśleć ani pisać nie można.

Branko był przeważnie poetą lirycznym, opiewającym cuda przyrody, miłość, tęsknotę, zachwycający się jasnym słońcem, bladym księżycem i szmerem strumienia, sentymentalny aż do uwielbienia białej nóżki spoczywającej na murawie pasterki, rzeczy o których u nas, po ś. p. Filonie, mówić się nie godzi. Dla każdego jednak, jako tako obeznanego

z literaturą i zwyczajami Serbii, zachwyty te mają zapach wiosennego kwiecia. Z marzycielskiej zadumy wyrwa młodzika wspomnienie Kosowego pola, niewoli Serbii, zuchwałych czynów hajduków (*), a wtedy widzimy nieledwie jak w oczach naszych roztkliwiony pieszczoch w zapaleńca urasta, i wtedy już nie nuci piosnki, ale grzmi z wielką siłą:

„Domem moim — ten las ciemny,
A posłaniem — twardy kamień...
.....
.....

„Z nimi (z hajdukami) zleczę z lasów czarnych,
Jak wśród burzy błyskawica.“

A że Serb, więc mściwy, i krwi i okrucieństw wtedy łaknie.

Do wspomnień przeszłych wraca często, lecz zwykle ledwie zaczęta pieśń bojowa kona mu na ustach, śpiewak milknie, a kiedy głos podniesie, to już o tém niebie co błękitne wisi nad nim, o słońcu jasnym i o lasów szumie, albo o tęsknącym dziewczęciu.

Pięknym jest jego większy poemat p. n. *Pożegnanie studenckie*, pełen wspomnień i zwyczajów narodowych, a w tak wdzięczną formę ujęty, jakby ję od autora Rusalek zapożyczył.

Czytając pieśni Branka, oceniając głęboką znajomość sztuki, pytałem niespokojny: „Dlaczego wyżej nie nastroił gęśli? Czemu po Homerowie nie sięgnął wawrzyny?“ I oto jaką dał mi odpowiedź jego życiorys.

„Marzeniem Branka była podróż, po skończeniu nauk. Szczególniej serce go ciągnęło na Kosowe pole. Chciałbym — mówił — napisać epopeję, ale ani jednego słowa nie rzucę, dopóki Kosowa nie ujrzę, Kosowa, na którym zagasła sława Serbii. Treść mam gotową, ale epopeja serbska winna być do greckiej podobną; w niej trzeba zawrzeć wszystkie zwyczaje narodu.“ Umarł mając lat 29.

Kończąc to krótkie wspomnienie, zasługi poety sprowadzam do wielkiej umiejętności języka, niepospolitej zdolności lirycznej i przechowania czystej, nieskażonej duszy. Był to wieszcz opisowy, który chociaż nie zdobył się na pieśń ani na myśl wielką, w niewinności swęj i uroku tak miłym stał się Serbii, że gdy się wyżsi zjawia, ona o biédnym Branku nie zapomni. Godzi się i nam wiedzieć o nim, i może kilka wierszy podanych w przekładzie zyszcą gościnne przyjęcie.

I

Poranny wędrowiec.

Śpi dolina i las w cieniu,
I przyroda senna jeszcze...
Tylko woda po kamieniu,
Tylko wicher zaszeleszcze.

Na pobudkę kogut pieje,
I skrzydłami bije w góry,
Zdała jakiś błysk jaśnieje,
Dzimek wyjdzie z po za chmury.

I jutrzienka śpi czerwona,
A wędrowiec siadł w krzewinie,
Patrzy jak noc zwolna kona,
Okiem het! — daleko ginie.

Cień już niknie, gwiazdy gasną,
Jasne słońce dookoła,
I w wędrowca duszy jasno,
I w zachycie tak zawoła:

„Oj słoneczko — co niebios
Rozjaśniło przyjście twoje,
Oj obłoki — z których rosa
Jak lzy pada w serce moje!

Łąko moja umajona,
Lasy, pola, ciemne góry,

I ty, piosnko nieskończona,
Którą dźwięczą plectwa chóry!

Kwiatku polny, woniejący,
Trzody żwawe, wypasione,
I ty wietrze wciąż szumiący,
Bądźcież, bądźcie pozdrowione!

Ach i ty bądź pozdrowiona,
O dziewczyno cudna, pusta,
I zawiśnij mi u łona,
I ucałuj bratnie usta!...“

II

Nieznany morderca.

Słońce nie chce świecić dłużej,
I do snu już oko mruży,
I za lasy skoro bieży, —
Mnie się spocząć też należy.

Siadę, siadę nad strumieniem,
Na tej trawie, pod drzew cieniem,
Nim różana błysnie zorza,
Z zielonego wstanę łoża.

Rzekł wędrowiec, — próżne chęci,
Cóż go ludzi, cóż go nęci,
Młode serce, wonne kwiecie,
A więc począł grać na flecie.

Dziwnaź fletnia — śpiewem płynie
Het po górach i dolinie...
A muzykę wiatr daleko
Poniósł lekko ponad rzeką.
Leci echem — nie utonie...
Już po drugiej dźwięczy stronie.

Po tej stronie dziewczę młode
U krynicy czerpie wodę,
Naczerpała, odejść chciała,
Lecz ją fletnia zatrzymała.

Siadła rada i nierada,
Každy ton w jej serce pada,
Jak osina drży nieboże,
Ale ruszyć się nie może.

A wędrowiec rozrzwinięty,
Na czarowne patrzy strony,
Na bogate w okół wdzięki,
Flet na ziemię puścił z ręki.
Nie gra dalej, tylko nuci
Jak się wietrzyk z liściem kłóci,
Jak szeroko rzeka płynie,
Jakie kwiaty na dolinie.
„Gdyby jedno dziewczę hoże,
Na wiek zostałym tu, Boże.“

Śpiewa, śpiewa — ona słucha
Jak zakłęta, jak bez ducha.
Oj piosenko — mocny Boże!
Chce do domu, a nie może.
A pieśń płynie wciąż piękniejsza
I rzewniejsza i silniejsza,
Kto ją nuci? dziewczę nie wie,
Jednak tyle mocy w śpiewie,
Że niepomna na urwiska,
Chce ją słyszeć, słyszeć z bliska.

Na pochyłym brzegu stanie....

Oj, przekłete to śpiewanie!
Oj, zła pieśń! — dziewczę młode
W niezgłębioną wpadło wodę.

Zorza się na niebie pali,
A wędrowiec poszedł dalej;
Ranek błysnął naokoło,
Wędrowiec nuci wesoło.

Tyś nie wiedział, biédny piewce,
Żeś na śmierć zaśpiewał dziewczę!

Karol Pieńkowski.

(*) Po Wuku, najbardziej zasłużonym w tej sprawie jest Grzegorz Daniczcz.

(**) Autor bohaterkich pieśni, — † 1851.

(*) Hajduk, zbieg górski, napadający na Turków, a zarazem rozbójnik.